

**Jak chłopci sycylijscy
walczyli o swe prawa
i lepszą dolę**

Rok 1906

Nakładem Spółki Nakładowej „Książka“

Jak chłopci sycylijscy walczyli o swe prawa i lepszą dolę.

Rok 1906.

Nakładem Spółki Nakładowej „Książka“.
Z drukarni Władysława Teodorczuka.



235029

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku



FUW0000032

D 84/86

BWH-D-85/227/04

28.06.

3

190

ROZDZIAŁ I.

Zdala, zdala od naszej ojczyzny, jeszcze za ziemią niemiecką, w ciepłej krainie, leży Królestwo Włoskie. Częścią królestwa tego jest wyspa Sycylja, morzem Śródziemnym oblana. Mieszkańcy tameczni nie wiedzą zgoła, co to zima; nasze mrozy, zadymki i śnieżyce nie są im znane. Jak rok długi jest tam ciepło; mnóstwo roślin, pięknych i delikatnych, które u nas tylko w cieplarniach, pod pieczołowitą opieką ogrodników wyhodować się dają, tam rosą sobie w gruncie, pod niebem. Góry pokryte są winnicami; spotyka się całe gaje drzew cytrynowych, pomarańczowych i innych, tak rzadkich w naszych stronach. Owoce tutejsze i wino idą na sprzedaż w obce, dalekie kraje — i z tego to handlu głównie się utrzymują mieszkańcy Sycylii. Miejscami trafia się i tutaj, iż ludzie trudnią się rolnictwem, ale miejsc takich w ogólności jest niewiele; pól zbożem, jak u nas obsianych, prawie wcale się nie widzi, natomiast ciągną się bez końca ogrody i winnice. Słowem — jest to czarowny, błogosławiony zakątek, któremu równego prawie nie znaleźć na całej kuli ziemskiej.

A jednak pod tym pięknym, wypogodzonym niebem — żyje lud bardzo ubogi. Chłopi sycylijscy wszyscy niemal pędzą żywot w wielkim niedostatku; własnych

gruntów nie mają oni prawie wcale, bo ziemia wszystka bez mała, na tej wyspie należy do dziedziców. Tak, na przykład, w okręgu Dzenoweze na każde 3 morgi gruntu włościańskiego przypada 97 morg, będących w posiadaniu różnych hrabiów, książąt i baronów, czyli — że ci ostatni mają trzydzieści dwa razy więcej, niż włościanie. W okręgu Sikuliana i kilku przyległych doń, prawie wszystka ziemia jest własnością jednego człowieka, barona Agnello; więcej niż połowa okręgu Terranuova należy do jednego księcia Monteleone — i t. d.

Wszyscy ci książęta i hrabiowie sami po większej części nic koło gruntu nie robią, mieliby to bowiem za ubliżenie dla siebie. Siedzą zwykle po miastach i lud wiejski nigdy ich nie widuje, a zarząd majątkiem sprawują wyłącznie rządcy. Gospodarka pańska prowadzona jest byle jak i dużo gruntu leży nieużytkiem. Rządca nie wiele się o to troszczy; idzie mu o to tylko by pokazać, jaką to on ma władzę nad chłopami i najemnymi parobkami; uciska też ich wszelkimi sposobami. Lud robotczy pracuje, potem i krwią swoją przysparza panom bogactwa, a panowie — napychają sobie kieszenie i przejadają potym swe pieniądze w miastach i stolicach. I zdarza się tak, że dziedzic przez całe swe życie, ani razu nie zajrzy do majątku, okiem nawet nie rzuci na ziemię, na tę ziemię, która co roku daje mu tysiące rubli dochodu...

Zazwyczaj grunta pańskie dostają się w dzierżawę chłopom, rzadko kiedy jednak się zdarza by pan sam załatwiał interesy z chłopami; zwykle wypuszcza on w dzierżawę wielkie obszary gruntów jakimś kilku bogatym dzierżawcom, a ci dopiero od siebie, z drugiej ręki i oczywiście z zarobkiem odstępują mniejsze ka-

wałki drobniejszym dzierżawcom, ci zaś, znów z zyskiem, odstępują jeszcze drobniejszym, aż wreszcie ostatnim i najdrożej płacącym za dzierżawę jest chłop, który ów ziemi kawałek własnymi uprawiać będzie rękami.

Tak więc — chłop, pracownik na roli, otrzymuje ziemię z drugiej, trzeciej, lub czwartej dopiero ręki. Pomiedzy niego i właściciela ziemi wcisnął się cały szereg pośredników. A czy to im, tym pośrednikom, idzie o to, żeby mieć dla siebie ziemię, mieć na czym pracować? Wcale nie. Im ziemia potrzebna tylko na spekulację, żeby coś zarobić, zedrzeć — z kogo? Z biednego chłopca. To też chłopci tych dzierżawców wyzyskiwaczy nienawidzą stokroć srożej jeszcze, niż samych dziedziców i rządców.

A ile też chłop sycylijski płacić musi czynszu i co sam może na dzierżawie zarobić? Różnie bywa, ale na ogół powiedzieć można, że chłopu zawsze się marnie powodzi. Który ma tyle gotówki, że może wydzierżawić grunt na dłuższy czas, na jakieś 15 — do 20 lat, to temu jeszcze jest nie najgorzej, wypłaca się w naturze, ziarnem oddając połowę zbioru. Ale i tak bywa, że chłop musi oddać trzy ćwierci zbioru dziedzicowi, a sobie tylko ćwierć jedną może zostawić. Prócz tego, według umowy, spada na chłopca obowiązek płacenia za dziedzica podatka gruntowego. — I cóż się okazuje, gdy kończy się termin dzierżawy? Oto — że chłop przez długie lata pracował, harował, wykarczowywał pnie, osuszał błota, oczyścił grunta z kamieni i chwastów dzikich, ulepszył grunt, doprowadził do tego, iż ziemia poczęła więcej wydawać, uczynił ją rodzajniejszą — ale czy będzie się cieszył z owoców tej długoletniej pracy? Gdzie tam. — Jak tylko dziedzic przewącha, że grunta

teraz lepsze i rodzajniejsze, to zaraz podwyższa czynsz dzierżawcy. Co go obchodzi, że grunta dlatego się poprawiły, że to chłop je użyźnił swoją pracą, swoim znojem i potem! Dziedzic kontent tylko, że może teraz więcej zdrzeć z czynszownika, a jeśli dawniejszy nie zgodzi się, żeby do własnej, ciężkiej pracy jeszcze miał dopłacać, to na jego miejsce stu innych się znajdzie. I żeby częściej w ten sposób zarabiać, dziedzic stara się wypuszczać grunt tylko na krótki termin. Co chłop na to poradzi? Bez gruntu obejść się nie może, a że grunt ten w ręce pańskiej, więc chcąc nie chcąc, trzeba się zgodzić na wyższy czynsz. Ale swoją drogą nie jednemu ręce wtedy opadną... Bo i jakże to — chciałbyś, człowieku, jaknajstaranniej ziemię uprawiać, chciałbyś jaknajtroskliwiej obchodzić się z nią, z tą karmicielką twoją, ale cóż masz za pociechę, kiedy ci dziedzic za to podwyższy czynsz! Tym się też właśnie dzieje, że włościanin sycylijski byle jak ziemię uprawia; on by rad ją otoczyć staraniem, a obawia się, by tylko biedy gorszej nie ściągnąć na własną głowę...

Gdy chłop wypłaca czynsz jakąś pewną częścią zbioru — jest to dla niego korzystniej, ale w niektórych stronach w Sycylii umowa bywa taka, że chłop musi z każdego morga dawać tyle i tyle miar ziarna. Taka umowa staje się niekiedy dla chłopca niesłychanie ciężką i niebezpieczną, bo niech tak parę lat z rzędu trafi się nieurodzaj... dziedzic nie pyta, czy urodziło się, czy nie, tylko dawaj mu, ile się należy, choćby tam w polu jednego kłosa nie było. A wtedy, chcąc nie chcąc, trzeba się zadłużyć. Bieda zaś — gdy kto raz dostanie się w łapy zdziercy-lichwiarza wiejskiego; ciężko mu się potem wypłacać.

Czasem znów staje taka umowa, iż włościanin podejmuje się na swój rachunek, i swego dając konia, wykonać wszystkie roboty gospodarskie, poczynając od orki i do młocki włącznie — za co otrzymuje czwartą część zbioru i z tego to musi i podatek zapłacić i przeżyć z swą rodziną. Oczywiście — często mu chleba nie starczy — i oto znów udaje się do bogatego sąsiada-lichwiarza z prośbą o pożyczkę, którą obiecuje spłacić z procentem znów z tejże samej czwartej części zbioru.

Dola najmitów jeszcze jest gorszą. W jednym okręgu niepodobna, by znalazło się dla nich dość pracy, więc najczęściej łączą się w gromadki po siedmiu lub więcej i wiodą życie koczownicze. Wałęsają się po całej wyspie, jak cyganie, z końca do końca, z okręgu do okręgu, poszukując pracy. Prawdziwi to bezdomni nędzarze, zmuszeni często nocować pod gołym niebem. W nocy daje się im we znaki wilgoć, w dzień — skwar, sieką ich deszcze, dokuczają przenikliwe wiatry, wiejące od morza. Nie mają sposobu dowiedzenia się, gdzie potrzeba robotnika, gdzie — nie, to też najczęściej chodzą daremnie — umęczeni, wygłodniali, wyczerpani. Stają się pastwą różnych chorób, które tak łatwo czepiają się ludzi wynędzniałych i osłabionych. A gdy wreszcie po długiej włóczędździe, uda im się pozyskać jakąś robotę, to i wtedy los ich jeszcze nie jest do zazdrości. Żądają od nich 15 do 16 godzin pracy na dobę, a to jest nad siły człowieka wyniszczonego i zagłodzonego. Wielu w krótkim czasie upada pod brzemieniem pracy, zapracowuje się — ale cóż to obchodzi dziedzica? Więcej on dba o swe bydło, niż o człowieka-najmity, bo wszak koń go kosztuje, konia mu szkoda tak odrazu zameczyć robotą, a parobka!... Parobek jest zgodzony tylko na

dnówkę, dziś robi jeden, jutro na jego miejsce może być drugi. Niech jeden padnie, dziesięciu przyjdzie się prosić o tę samą robotę, byle głodną śmiercią ze świata nie schodzić!

Biednego narodu coraz to przybywa; gospodarstwa włościańskie podupadają; dziedzic, lichwiarze i wyzyskiwacze wszelkiego rodzaju niszczą i rujną chłopów, którym nie pozostaje nic innego, jak iść szukać jakiejś roboty, godzić się za parobków. Coraz to więcej ludzi idzie na wędrowną, jedni drugim odbierają robotę i psują sobie ceny, godzą się za byle co. Całe gromadki opuszczają wyspę i szukają szczęścia w innych częściach tego królestwa. Idą jeszcze dalej, za granicę; pełno takich wędrownych robotników spotyka się w sąsiednich krajach, jako to: Francyi i Szwajcaryi. Ale tam czeka ich znów nowa bieda, gdyż miejscowi robotnicy krzywo patrzą na przybyszów, którzy im chleb odbierają. Nacierpiawszy się głodu w własnym kraju, przybysze ci łapia wszelki zarobek, gotowi są zgodzić się za cokolwiek, a to nie może się podobać miejscowym robotnikom, którym po wielu ciężkich wysiłkach udało się pozyskać lepszą płacę i którzy w dalszym ciągu usiłują otrzymać płacę jeszcze lepszą, którzy trzymają się swojej gromady, obstają jeden za drugim, urządzają strajki, nigdy jednego grosza nie ustąpią pryncypałowi, jedni zaś drugim pomagają w potrzebie całą gromadą, czyli — jak oni to zowią — całym związkiem. I oto naraz, wśród nich zjawiają się ci obcy, całe zastępy obcych, chciwych zarobku, wyrrywających go sobie z rąk jedni drugim, gotowych robić za byle co i jednym zamachem niszczących owoc wieloletnich zabiegów, którym miejscowi zawdzięczają nieco lepszą dolę swych rodzin. Nic dziwnego, że

po między przybyszami i miejscowymi rozpoczynają się swary, następnie bójki, a wreszcie gromadne pogromy; toczy się walka iście bratobójcza, bo wszak robotnicy wszystkich krajów są sobie braćmi. I oto brat brata bije, wyklina, wypędza; słusność jest po stronie miejscowych, lecz i tych nieszczęśliwych przybyszów z Sycylii nie można potępiać; bo oni poprostu pojąć nie mogą, iż można i należy żyć inaczej, nie tak, jak u nich; wreszcie ich wymówką jest głód, co im kiszki skręca.

Taką oto jest dola robotników wędrownych; ale i tym, którym trafia się zarobek na miejscu — u siebie w domu — nie lepiej się dzieje. Płacą im nędznie, a i to częstokroć nie pieniędzmi, lecz lichym chlebem lub winem. Zdarza się też nieraz, iż tacy chłopi-najmici nie mogą nawet mieszkać na wsi i muszą wynajmować dla siebie jakiś kąt w mieście. Pobudować się na gruncie pańskim chłop taki nie może; pan na to nigdy nie pozwoli nie tylko parobkom, ale dzierżawcy nawet. A na wsi dostać mieszkanie też nie łatwo, bo tam wsie nie takie jak u nas, gdzie i grunta włościańskie i chaty są w kupie, jedne przy drugich. Tam i grunta i chaty rozrzucone, więc taki parobek nie wszędzie może znaleźć sobie mieszkanie na wsi i musi izbę lub kąt wynajmować w pobliskim mieście. Tam zaś i życie zaraz drożej mu wypada; nie może już trzymać własnej krowy, ani kur, wszystko kupuje za gotówkę; gdy zaś zechce przywieźć sobie coś ze wsi, to musi od tego zapłacić przywjeździe do miasta podatek, bo to w Sycylii zaprowadzony osobny podatek od wszelkich spożywczych rzeczy, ze wsi do miasta przywożonych — i to bez względu na to, czy te rzeczy przywozi się na sprzedaż, czy też tylko dla siebie samego.

W ogóle w całym królestwie włoskim wszyscy chłopci płacą bardzo dużo podatków i co roku za zaległe podatki, idzie na licytację wiele chłopskiego dobytku.

Podatki w Sycylii płacone są od „dymu“; im więcej w domu kominów, tym więcej płacić trzeba. Płaci się też od każdej sztuki bydłęcia, płaci się od morgi gruntu i t. d. — Pewnego razu, z powodu tak wielkich podatków, ludzie poczęli się burzyć, te zaburzenia sprawiły, iż różni uczeni poczęli się zastanawiać nad tym, dlaczego to chłopci sycylijscy cierpią taką nędzę. Zaczęto obliczać, ile chłopu przynosi ziemia, ile mu potrzeba na przekarmienie siebie i rodziny i ile ogółem płaci podatków. No i okazało się, że chłop żadną miarą nie może związać końca z końcem, że zawsze mu brakuje. Obliczono, iż do opędzenia najniezbędniejszych potrzeb każdej rodzinie włościańskiej co roku brak co najmniej 25 rubli na nasze pieniądze. Zarobków zaś na stronie brak zupełny, gdyż fabryk i zakładów przemysłowych w Sycylii bardzo niewiele. W kilku tylko miejscowościach znajduje się w ziemi siarka i tam, w kopalniach siarki, chłopci mogą coś nie coś zarobić, ale to ciężka i niebezpieczna praca, w głębi ziemi, dokąd ani promyk światła dziennego, ani powiew świeżego powietrza nigdy nie dochodzi. Siarka wydaje duszącą parę, bardzo dla zdrowia szkodliwą; źródła podziemne spowodowują niekiedy powódź, która zatapia kopalnię i robotników; czasem znów ziemia ich zasypuje. Ale cóż robić — nędza zmusza człowieka i do takiej pracy!

Obok olbrzymich podatków, gnębiących ludność, obok braku ziemi najcięższą plagą w Sycylii jest — miejscowa władza.

W Królestwie Włoskim nieco inne panują porządki, niż np. w Rosyi. I tam jest monarcha (król), są ministrowie i urzędnicy w rodzaju tutejszych gubernatorów, naczelników powiatowych i t. p., lecz nie mają oni takiej nieograniczonej władzy nad ludem, jak tutaj, cały kraj obiera sobie własnych pełnomocników czyli deputowanych (posłów), którzy mogą dawać pozór na czynności władzy. Wszyscy ci deputowani razem zebrani, tworzą „parlament“, bez zezwolenia którego nawet król nic ważnego przedsięwziąć nie może. Było by to bardzo dobre, cóż kiedy biedni nie mają równego z bogaczami prawa głosu na wyborach do parlamentu, a prócz tego lud prosty długo nie mógł zrozumieć korzyści, płynących z posiadania w parlamencie swego przedstawiciela, skutkiem czego bogaci tak kierowali, jak im było na rękę i zyskali w parlamencie przewagę. Podobnie dzieje się i u nas w gminie; jakże to często się zdarza, że wójtem zostaje ten, kto jest najzamożniejszy, choć ni to z rozumu ni z innych cnót nie słynie i zdolności na wójta nie posiada!

W Sycylii długi czas tak było, iż chłopci chętnie obierali posłem jakiegoś bogacza lub osobę, zaleconą przez władzę; chłopca nie obierali — gdyż jechać do stolicy, mieszkać tam, śledzić za biegiem spraw, byłoby dlań rzeczą zbyt trudną. Zresztą — chłop jest ciemny, jakżeby tam sobie dał radę! W ten sposób posłami zostawali bogacze, ci sami, co to zbogacili się z lichwy, ze zdzierstwa, z wyzysku, — zasiadłszy zaś w parlamencie, kierowali wszystkim, jak im się żywnie podobało. Nawet w tak zwanej radzie gminnej (w rodzaju naszego zarządu gminnego) również zasiadali tylko co najbogatsi i, naturalnie, myśleli tylko o sobie, o własnej

kieszeni, co przychodziło im z łatwością, gdyż dobrze żyli z władzą. Gdy szło naprzykład o podatek od bydła i trzeba było wymienić, ile kto posiada, bogacze wiejscy zaraz się zwachali z władzą, sporządzając spisy i taki co miał 40 sztuk bydła płacił tylko od dziesięciu, a biedniejszemu gospodarzowi nietylko, że policzono wszystkie sztuki, ale nieraz kazano mu płacić i od tego bydła, co mu już zdechło.

Taką to była dola chłopów sycylijskich przez długie lata. Jak ryba w sieci miotał się ów chłop nieszczęsny, zaplątując się coraz bardziej. Nędza ich stała się straszna, lecz nikt się o to nie troszczył, nikt się nie ulitował, nikt nie biegł im z pomocą. Zdawało się tylko od czasu do czasu tu i owdzie, iż do rozpacz doprowadzeni chłopci sami sobie wymierzali sprawiedliwość i po swojemu rozprawiali się z dziedzicem, poborcą lub dzierżawcą, który im wypuszczał grunt. „Nic już gorszego spotkać mnie nie może nad tę utrapioną dolę moją“ — tak myślał sobie zrozpaczony chłop i niekiedy tracił panowanie nad sobą. Naturalnie, przybywało wojsko, chłopów sądzono jako buntowników, więziono, wywożono, czasem rozstrzeliwano lub wieszano. I potem znów snuła się taż sama bezpromienna, szara dola...

A w tym nowa klęska dotknęła kraj... Spadły ceny wszelkich owoców, oraz wina i siarki, czyli tych właśnie przedmiotów, któremi handlując utrzymuje się ludność Sycylii. Duże straty ponieśli z tego powodu właściciele kopalni siarki i obywatele, ale zaraz postarali się, by straty te powetować sobie na robotnikach i chłopach; uskarżając się tedy na ciężkie czasy, coprędzej zmniejszyli płacę robotnikom, a co do chłopów — to nietylko, że im nic nie opuścili z czynszu, ale zaczęli

się domagać, by chłop im, dziedzicom, oddawał większą, niż dawniej, część zbioru. W ten sposób panowie różnicę w swych dochodach wyrównali, cały zaś ciężar owych strat, spowodowanych zniżką cen, spadł wyłącznie na uznożone barki ciężko pracującego ludu wiejskiego który pod tym ciężarem jeszcze niżej pochylić się musiał. Już i w pierw nie starczało im na życie — a teraz... choć legnij gdzie pod płótem i czekaj zmiłowania śmierci...

Co tu robić? Cierpieć, męczyć się i patrzeć bezradnie, jak najstraszniejsza z śmierci — głodowa — kościstą ręką dusi twe dzieci i żonę? Niepodobna! Chłop wprawdzie bywa bardzo cierpliwy i gotów jest wiele znieść, gdy mu przyświeca choć słaba nadzieja na poprawę losu. Czegóż jednak i od kogo spodziewać się mieli ci nieszczęsni? Z pomocą nikt im pospieszyć nie myślał.

Wtedy to temu i owemu błysnęła myśl, że nie mogąc od nikogo wyglądać ratunku, powinni sami sobie zaradzić. Śmielsi i bardziej rozzębieni zaczęli zbierać się, naradzać i zgodzili się na jedno, że niepodobieństwem jest dłużej żyć tak, jak żyli dotąd, że trzeba coś obmyśleć takiego, by własnymi siłami i środkami dolę swą polepszyć... I oto wkrótce po całym kraju rozeszły się głuche wieści, że na Sycylii dzieje się coś niezwykłego, że chłopci i robotnicy tameczni zaczynają łączyć się w jakieś związki.

Rozmaicie o tych związkach mówiono. Jedni zapewniali, że to łączą się z sobą zatraceni, gotowi na wszystko, rzezimieszkwowie itp., że chcą oni wymordować obywateli, że władzę za nic sobie mają i podmawiają lud prosty do złego. Mówiono, że do związków owych

przystąpili ludzie uczeni, profesorowie, adwokaci, doktorki, pisarze, którzy bałamuca chłopów, obiecując im gruszki na wierzbie po to, by potem z pomocą otumanionego ludu zagarnąć władzę w kraju. Przebąkiwano, że nawet z szlachty i obywatelstwa wiele młodzieży stanęło po stronie chłopów przeciwko swoim...

Znaleźli się jednak i tacy, którzy wręcz twierdzili, że w opowieściach o związkach chłopskich jest wiele nieprawdy, że to tylko obywatele opowiadają niestworzone rzeczy, ponieważ źli są, iż chłopci wreszcie przyszli po rozum do głowy; że związki — to bardzo dobra i pożyteczna dla ludu rzecz; że chłopci, należący do związków, nikogo nie napastują, ani krzywdzą, pomiędzy sobą utrzymują zgodę i jedność, wzajem sobie dopomagają i braćmi jeden drugiego zowią. Oczywiście — wielu wykształconych i bogatych ludzi stanęło po stronie tych związków chłopskich, nie dla osobistych korzyści jednak, lecz dlatego, iż tak im kazała miłość prawdy; niektórzy nawet majątki swe ofiarowali na rzecz tych związków.

Słowem — różne pomiędzy ludźmi obiegały pogłoski, każdy inaczej rzecz całą przedstawiał i trudno było pomiarkować, kto ma słuszość. Wreszcie wszystko to doszło do rządu, który całą tą sprawą naserjo się zaniepokoił. Dawniej, gdy chłopci znosili bez skargi swą biedę, rząd wcale się niemi nie zajmował — i nie troszczył, czy z losu swego są oni zadowoleni, czy nie. Naraz stało się coś osobliwego: rząd posłał swoich urzędników, by zbadali przyczynę nędzy sycylijskich chłopów. Przebąkiwano, iż niektórym z tych urzędników dano tajne polecenia, że jednemu zlecono, by dokładnie się wywieźdzał o wszystkim, co się tyczyło chłopskich związków. Gazety również pisały wiele o tych związkach, a ponie-

waż publiczność czytała to z wielkim zaciekawieniem i domagała się bardziej szczegółowych wiadomości, więc redakcje paru gazet wysłały nawet swoich zaufanych ludzi dla dokładnego dowiedzenia się na miejscu, co się tam dzieje; w liczbie tych ludzi był znany pisarz włoski, nazwiskiem Rossi.

ROZDZIAŁ II.

Rossi, chcąc dowiedzieć się prawdy, zwrócił się przedewszystkim do urzędników, którym rząd polecił zbadanie tej sprawy. Sądził Rossi, że kto, jak kto, ale właśnie ci urzędnicy powinni by go najdokładniej o wszystkim objaśnić. Omylił się jednak; jedni wymawiali się, że o niczym nie wiedzą i że wcale po co innego wysłano ich na wyspę; drudzy widocznie obawiali się, by nie powiedzieć czegoś takiego, czymby się mogli narazić wyższej władzy. Już z tego jednego łatwo się było domyśleć, że od tych urzędników lud nie może się spodziewać niczego dobrego, bo i po cóż by te wszystkie sekrety! Oczywiście było rzeczą, iż rządowi wcale nie o to szło, żeby zaradzić nędzy ludu, lecz o to, by zawczasu obmyśleć, jak sobie dać radę z owymi związkami chłopów i obliczyć, ile też to potrzeba będzie wojska dla utrzymania chłopów w karbach. To też przysłani przez rząd urzędnicy wcale nawet o nic nie pytali chłopów, nie starali się dowiedzieć o ich potrzebach, ani o ucisku, jakiego lud wiejski doznaje od obywateli. Urzędnicy szeptali coś na ucho, ale tylko z dziedzicem lub z miejscową władzą, z księdzem lub jakim bogaczem wiejskim, z tych zaś żaden naturalnie nie powiedział,

żeby chłopom miała się dziać jaka krzywda; twierdzili, że całe zło wynikało stąd, iż spadły ceny zboża, siarki, wina. Obywatele upewniali, iż oni narówni z chłopami ponoszą straty, że robią chłopom wszelkie możliwe ustępstwa i ulgi, tylko ktoś chłopów buntuje; że gdyby tych podżegaczy powsadzać do więzienia i porozpędzać związki, to już wszystko byłoby dobrze.

Niczego się nie dowiedziawszy od urzędników, Rossi udał się do ludzi, stojących na czele owych związków chłopskich i robotniczych. Ci przyjęli go wcale inaczej, powiedzieli, że nie mają żadnych sekretów, że mogą wyznać wszystko, całą prawdę, gdyż prawda i słusność jest po ich stronie; że działają na prawnej podstawie i, że czyniąc sprawiedliwie, niczego obawiać się nie potrzebują.

Tu trzeba powiedzieć, że we Włoszech prawo nie zabrania związków, mających na celu wzajemną pomoc. We Włoszech wolno zgromadzać się, zwoływać zebrania — nie zapytując nikogo o pozwolenie, wolno jest o wszystkim mówić, nie kłepując się, czy to o rządzie, czy o prawach i rozporządzeniach; można wytykać wszelką niesprawiedliwość lub nieprawidłowość. Prawa tameczne nie zabraniają robotnikom urządzać bezrobocia; wolno też zakładać kasy wsparcia dla strejkujących. To też związki chłopskie, o których mowa, nie miały żadnej potrzeby ukrywania się przed nikim; wszystko robiło się tam zupełnie jawnie; niektóre związki posiadały już własne siedziby; każdy związek posiadał swój własny sztandar; zdarzało się, iż stowarzyszeni z muzyką swą na czele urządzali pochód przez miasto, czasem znów zbierano się na jakim placu i tutaj wygłaszano mowy; kto umiał pięknie mówić, ten występował; opowiadał

o wszystkim, co wycierpieli chłopci sycylijscy, dlaczego cierpieli i w jaki sposób można tej biedzie ich zaradzić.

Przywódcy związków jaknajchętniej odpowiadali Rossiemu na wszystkie zadawane przezeń pytania. Szczerze i otwarcie opowiadali mu o całej nędzy i ucisku, jaki znosić musiał lud sycylijski; prosili Rossiego, by sam zechciał się przekonać o prawdzie ich słów, by zwiedził wsie, by własnymi oczami popatrzał na to, co się tam dzieje, by sam o wszystkim rozmówił się z chłopami i sprawdził ich nędzę. Wreszcie prosili go o przybycie na zebranie członków związku, by mógł posłuchać i popatrzeć, co tam się mówi i co robi.

Rossi zgodził się. Z jednym z przywódców związku udał się w podróż po wyspie, od wsi do wsi, zwiedzał gospodarstwa chłopskie i ubogie chaty, odczytywał kontrakty i umowy, jakie pozawierali dziedzice z chłopami; nie zaniedbywał żadnej sposobności, by pomówić samemu z nimi i to nie z jednym lub z kilkoma, lecz z całą gromadą.

Zdarzyło się naprzykład, że zajechał do pewnej wsi, położonej w górach. Ludna to była wieś, bo liczyła coś koło dziewięciu tysięcy mieszkańców; z tej liczby do związku należało już półtrzecia tysiąca mężczyzn i blisko tysiąc kobiet. Rossi przyjechał tam w niedzielę rano i trafił akurat na zebranie członków. Mężczyźni stali po jednej stronie izby, kobiety po drugiej. Przyjęto Rossiego bardzo uprzejmie, proszono go, by zasiadł pośrodku — i chętnie odpowiadano na jego pytania.

— Dlaczego to — zapytał — związek wasz liczy tak wielu członków?

— A to dlatego — odpowiedziano mu zgodnie — bośmy wszyscy teraz wymiarkowali, że ino wtenczas do

czegoś dojdziemy, kiej się wszyscy połączymy i będzie jedność i gromadne zachcenie między nami.

— A czegoż wy chcecie? Z czego jesteście niezadowoleni?

— Też to się pan pytają, a z czegoż to ma być zadowolenie? — odpowiedział mu jeden z chłopów. — Ja sam, na ten przykład, gruntu swego nie mam, roboty — szczęście jak na roku pół, a drugie pół — my, gruntu nie mający, co się to mówi bezrolni, nikomu nie jesteśmy potrzebni. Zarabiam tygodniowo — gdy jest robota — jakies pół-trzecia do trzech rubli i to, jeśli służy pogoda. Gdy pogoda się popsuje, gdy deszcze upadną — zarobek się zmniejsza.

— Jakże tedy sobie radzicie, gdy zabraknie roboty?

— Jak sobie radzimy? Zbieramy różne korzonki i gotujemy je, choćby ta i przez soli.

— Żonaci jesteście?

— A ino, mam żonę i dzieci dwoje. Za izbę płacimy 26 rubli w rok. Śpimy na słomie, a jak robota w polu, to śpi się i na gołej ziemi, pod niebem. Przemownie się czasem do nitki, aleć wiatr nas osuszy. Gdy przyjdzie wypłata, trzeba czasem po kilka godzin stać i czekać, nim dziedzic do nas wyjdzie. Żeby choć zapłacił wszystko, jak się patrzy, bogać tam — zawsze cosi urwie, cosi wytrąci, to znów wsadzi nam taki pieńdz, co go potym nikt nie chce brać. A niechby tylko człowiek się poskarżył, to dziedzic tak wszystko pokreć, że aż hej! — to nie on winien, ino my sami winni. Potym jeszcze gadają na nas dziedzice, że robić nie chcemy, żeśma próżniaki!...

— Ale czy to wszyscyście są bezrolni?

— Wszyscy ta to tak nie — odezwał się drugi chłop —

ja mam swój grunt i inni niektórzy mają, ale ta i nam nie lepiej. Gruntu mało, a podatków siła. Co się zarobi, to idzie na podatek. I mało wiele tak nas bieda przyciśnie, że — lepiej by już chyba iść na wyrobnika.

— Swego zboża nigdy prawie na rok nam nie starczy — wtrącił trzeci — zawsze albo zapożyczyć się trza, albo iść do dworu na robotę. Uprosi się dziedzica żeby coś nie coś dał na zadatek, to da — ale zboże na pół z piaskiem, a jak mu się oddaje, to dobrze patrzy, żeby mu odsypać co najlepszego ziarna. Mają nawet po dworach dwie miarki: mniejszą, co nią mierzą zboże dla nas i większą, co nią mierzą to, co my im oddajemy — i nie wstydzą się tak krzywdzić naród! Raz to nam dano na południe taki chleb, że już ani ugryźć. Ni chleb, ni kamień, — ziemia z piaskiem; pies by nie żarł...

— A jakież są wasze żądania, czego teraz się domagacie? — pytał dalej Rossi.

— Czegoż by innego — odpowiedziała w imienin wszystkich pewna młoda włościanka — jak nie tego, żeby wszyscy tak pracowali, jako i my i osobliwie żeby już bogatych i biednych nie stało i żeby dla wszystkich wystarczało chleba. Równość ma być, równość w całym narodzie. Ja mam pięcioro dzieci i wszyscy w jednej izbie śpimy i jemy i robimy, a panowie mają po dzie sięć, po dwanaście pokojów...

— To znaczy, że chcecie, żeby wszystko zostało równo podzielone — rzekł Rossi. — Ale gdy to nastąpi, czy znów kto sprytniejszy nie będzie usiłował z bogacieć się kosztem mniej sprytnych, którzy znów zubożają i będą się musieli zaprzedać tym nowym bogaczom?

— Bo też wcale nie trza dzielić wszystkiego — od-

parła włościanka—ino trza, coby ziemia była wspólna i co-
byśmy wszyscy społem na niej pracowali, a co się zbie-
rze, to dopiero podzielić między wszystkich, sprawiedli-
wie. Wtedy ta nikt z nikogo żyć nie będzie.

— Rozumiem. Chcecie społem pracować i społem
się dzielić owocem swej pracy, ale czy nie sądzicie,
iż mogą się trafić tacy, co będą chcieli mało robić,
a przy podziale dostać tyle co inni, albo i więcej?

— O nie! My wszyscy będziemy jakby jedna ro-
dzina, wszyscy sobie braćmi. Kto zawini, inni mu to
wymówią, zawstydzą go — będzie się musiał upamię-
tać, a który nie zechce się poprawić, to takiego i uka-
rać potrafimy.

— No, a cóż na to wszystko mówią wasi księża
proboszcze?

— A toć różnie mówią, ale ktoby tam miał słu-
chać!—gniewnie odparła młoda kobieta.—My miarkujemy
właśnie według tego, jak Chrystus nauczał. Bo i jak
żyli pierwsi chrześcianie i apostołowie? Wszystko mieli
wspólne; wszystko, co kto zarobił, składali do wspólnej
kasy. Ale nasi księża prawią nam wcale nie to, co
mówił Chrystus; księża w naszym kraju to najpierwsze
lichwiarze i żyłownicy, to też im nie w smak poszło,
jakeśmy nasz związek zakładali. Zaraz księża pomiarko-
wali, że teraz nie tak już łatwo im będzie żyłować
nas, jak dawniej żyłowali. Jak ci nie zaczną nas stra-
szyć na spowiedzi, a odgrażać się, że nie dopuszczą do
komunji, ale my ta nie tacy głupi, wiemy co się święci;
wiemy, że proboszczowi nie idzie o nasze zbawienie,
ino o własną proboszczowską kieszeń, żeby nie schudła...

— A ino — jeszcze by też słuchać co ta klechy
prawią! — wtrąciła druga włościanka. — Adyc' głodną

śmiercią nikt nie chce z świata schodzić; jeść każdy
musi, a nam się już sprzykrzyło wiecznie chodzić o gło-
dzie. Sił już brakło, nogi nie służyły, ręce opadały...
Mój chłop w tych stronach roboty wcale nie mógł na-
leżeć i poszedł w świat — taj i przepadł; wieści o nim
nie mam żadnej. Obie córki letnie musiałam oddać do
miasta, poszły do służby, ta i z chrobaczkami maluśkimi
ostałam; — i ledwie, że ledwie zipię, ostatni łach zaniósłam
cido lichwiarza, a co ta już od nas nabrał? Jak się z bogaci
na nas, to wyjedzie sobie do miasta i tam przeje pie-
niążki, a tu inszy jaki siądzie krwi łakomy. Oj dolo!
A rady na takiego niema żadnej; śmieje się i tyle, taj
powiada, że prawa nie dla nas pisano.

— Święta prawda, — odezwała się jedna z star-
szych kobiet—niechno bogaty coś przeskrobie, to zawsze
mu ujdzie na sucho, zawsze go ktoś wypłacze z biedy,
ot zatkają gębę komu trza i tyle. Ale niechno naszemu,
biedakowi, noga się powinie, oho! zaraz więzienie, sąd,
kara! Za byle co, za kawałtko chleba, co się na niego
głodny połaszczyl...

— Powiadają o was — wtrącił Rossi, — że do
waszych związkow przyjmujecie złodziei, rozbójników,
łotrów wszelkiego rodzaju. Czyżby to miało być prawdą?

— A to kto powiadał? — z oburzeniem odezwali
się chłopci—chyba dziedzie który! To kłamstwo. Złych
ludzi wcale nie przyjmujemy, bo tacyby nam popsuli
calušką sprawę. Ino pewniacy, uczciwi wsiowi ludziska
należą do związków. To prawda, że i taki w związku
się pokaże, co odsiadywał więzienie i o nich to pewnie
mówią panowie; ale czy to każdy, co go rząd skazał
na więzienie, ma już być najgorszy! Niejeden łoter, cie-
mieźca, grabieżca chodzi sobie na wolności i mieszka

w pozłocistych pokojach, a biedak niech ściągnie kromkę chleba dla głodnych dzieci swoich, albo i drzewa wiązki—to już od więzienia się nie wykręci. To my takiego naszego biedaka mamy zaraz odepchnąć, jak parszywą owcę? Przecie on nie złodziej, on człowiek taki, jak każdy, ino jeszcze nieszczęśliwszy; a w nieszczęściu nie opuścić takiego, trza przygarnąć, podtrzymać, bo inaczej zginie całkiem. Tak, mój panie, takich przyjmujemy do związku bez żadnej przeszkody, przyjmujemy ich, jak braci, kmotrów, familijantów, nie wymawiamy im niczego, ino staramy się pomóc im, coby się poprawili. Toć za to nie zasługujemy na wymysły, prędzej warci jesteśmy pochwały, bo i Chrystus nakazał przebaczać grzesznikom...

— Dobrze powiedział jeden z naszych przywódców, że związki są potrzebne, aby dola nasza lepsza była, by żaden wsiowy człek nie potrzebował kraść, ani rozbijać, ani w inny jaki sposób bliźnim swoim krzywdę uczynić!

Rossi uszom swoim nie wierzył... Jakże śmiało i rozumnie przemawiają ci prości, nieuczzeni chłopci, których urzędnicy i dziedzice zowią dzikimi zbójami!

— No — a jak się tam powodzi waszemu związkowi? — zapytał jeszcze.

— Doskonale. Niedawno były u nas wybory do Rady gminnej*). Dawniejsi radni wszyscy podlizywali się panom i naczelnikom, więcemy ich usunęli precz, a na ich miejsce wybrali samych swoich. Po innych

*) Rada gminna składa się z osób wybranych przez gminniaków i zarządza sprawami gminy. Na czele jej stoi syndyk (w rodzaju naszego wójta), którego radni sami obierają z pośród siebie.

gminach tak samo zrobiono. Teraz to nam łatwo tak robić, bo prawie cała ludność wiejska już przystała do związków i wszyscy na wyborach głosują, jak jeden. Jak drugie przyjdą wybory — obaczy pan — wszyscy radni będą nasi, a to ważna rzecz, bo zawsze rada gminna rozstrzyga dużo takich spraw, które obchodzą chłopów. A będzie i taki czas, że związki zabiorą w swe ręce wszystkie sprawy gminne.

— Ale czy to na tym już ma być koniec? — rzekł Rossi—choćbyście objęli w swe ręce cały zarząd gminny, to przecież podatki się od tego nie zmniejszą?

— To ta i prawda — odparła jedna z włościanek — nędzy do cna zrazu nie wypędzi, ani my sami nie wyrwiemy tego bezprawia, co się u nas dzieje. To też związki nasze muszą zrobić to, by i na posłów do parlamentu obierać ino swoich ludzi. Niechno i tam zasiada nasi, wtedy zmusimy parlament do wysłuchania naszych żądań, wtedy i podatki muszą być zmniejszone; wtedy sami dopilnujemy, żeby prawa pisano takie, jakich nam potrza, nie jakich potrza dziedzicom, by mogli nas gnębić!...

Rossi zauważył na to:

— Ale tymczasem związki istnieją dopiero w jednej Sycylji, która jest tylko niewielką częścią królestwa włoskiego, więc też i posłów z Sycylji jest w parlamencie zaledwie kilku. Cóż oni będą mogli sprawić?

— O! my się spodziewamy, że już w niedługi czas związków się namnoży po całym kraju — z zapalem przemówił młody parobek — u nas, na wyspie w bardzo krótki czas liczba związków bez mała we czworo urosła. A w caluńskim kraju bracia nasi, robotnicy, jak my, i jak my cierpiący, nie mieli by się zbudzić? Nie wezmą

się to do roboty dla własnej korzyści? By poratować się i biedę przepędzić? Ino trza im rzecz wyłożyć dokumentnie, co i jak należy robić — a wtedy wszędzie związków będzie dość...

Nie tak jeszcze dawno, to i my nie wiedzieliśmy o tym, co to są związki, powróz to, czy jaka choroba! Marliśmy z głodu i milczeli bezradnie; ślepi, ciemni — nie widzieliśmy ratunku, co jest tak blisko. A teraz co?

— Łudzicie się jednak, — wtrącił Rossi — jeśli sądzicie, że rząd będzie spokojnie patrzył na wasze związki. Narazie rząd się nie opatrzył; nigdy się nie spodziewano, by związki mogły tak szybko się rozwinąć i dlatego nie przedsięwzięto żadnych środków, by temu zapobiec, ale drugi ras takiej omyłki rząd już nie popełni i nie dopuści, by związki miały rozpowszechnić się po całych Włoszech. Zobaczycie, że nawet tu u was — związki wkrótce będą zabronione; wszak mieszkacie na wyspie zewsząd oblanej morzem, łatwo więc was ze wszystkich stron otoczyć okrętami wojennymi. Cóż wtedy poczniecie?

— Pomrzemy spolem, — odpowiedzieli z prostotą i jednogłośnie mężczyźni i kobiety — niech nas posieka na kawałki, a związki muszą być. Kiej padniemy ofiarą przemocy, to krew nasza zawoła o pomstę tak głośno, że usłyszą wszyscy inni bracia nasi, robotnicy i chłopci w całych Włoszech, a gdy pomiarkują, że krew naszą przelano za to ino, żeśmy żądali chleba i pracy — o! wtedy wszystek lud powstanie i wszystek upomni się o naszą świętą sprawę. Obaczymy wtedy, kto przy końcu zwycięży!

Takie odpowiedzi dawali Rossiemu zarówno mężczyźni, jak kobiety. Było ich wszystkich koło sta osób

i wszyscy mówili jedno, zgadzali się na jedno. I widać było, iż głęboko, a szczerze czują to, że nic nie zdoła ich ugiąć i że zawsze gotowi będą czynem stwierdzić swe słowa.

— Chciałbym was zapytać jeszcze o jedno — rzekł Rossi — czy te związki wasze przyniosły wam już dotychczas jaką korzyść, czy tymczasem żadnej jeszcze?

— A ino! Przyniosły nam korzyść i to wielką, bo siła obywateli, zlekli się związków, i już nam poczynili ustępstwa; jedni poopuszczali trochę z czynszu dzierżawnego, drudzy o wiele sumienniejszą wypłacają robotnikom, — odpowiedział jeden z obecnych.

— Drugi zaś dodał:

— A i to na ten przykład, że związki urządzają szkoły dla letnich. W szkołach tych zbieramy się co święto, a nawet i w powszednie dni, wieczorem — i słuchamy głośnego czytania. Dużo — niemało ciekawych i pożytecznych rzeczy jest ci do dowiedzenia się, a wszystko opisane w książkach, więc miło jest posłuchać. Koniecznie musimy się choć trochę poduczyć, żeby dziedzice i inni wyzyskiwacze nie mogli nas tak łatwo oszukiwać. Przy szkołach mamy biblioteki czyli księgozbiory, do nich zakupujemy wszelakie książki i pisma, w których drukują się przepisy prawa co obowiązuje w naszym kraju, byśmy mogli wiedzieć, co nam wolno, a czego prawo zabrania; dobrze też jest wiedzieć, czego naczelnicy i wogóle władza może od nas żądać i czego żądać nie ma prawa. Związki nauczyły nas lepiej interesów naszych pilnować i dokładnie patrzeć na palce naszym radnym gminnym.

— A trza i to powiedzieć, — wtrącił jakiś starszy włoszianin — że w związkach zaprowadzona jest

pomoc wzajemna, a to jest tak, że w razie jakiegoś nie-
szczęścia wszyscy jeden drugiemu niosą pomoc. Kiej np.
zemrze członek związku, zbiera się składkę dla wdowy lubo
dopomaga się jej w jaki inny sposób. Albo też taki ci wy-
padek był świeżo. Jeden z młodych parobków zachoro-
wał i przeleżał w szpitalu kilka miesięcy, a i teraz
jeszcze nie zupełnie przyszedł do zdrowia; ano dopóki
zupełnie nie wyzdrowieje i nie będzie mógł powrócić
do pracy, przebywa kolejno u zamożniejszych gospoda-
rzy, a owi dają mu po bratersku mieszkanie i wikt.
Trza się wspierać wzajemnie! Co ta wiele gadać! Jesz-
cze raz powtarzamy panu—złego w związkach nie dzieje
się nic; sumienie mamy czystości, ino chcemy, by każdy
z nas miał kawałek chleba. Tak powiedzcie panie, czy-
żemy zasłużyli na to, by nas tak czerniono? Grożą nam
więzieniem—a za co? Za dobre postęпки chytać ludzi
i więzić? Jest takie przykazanie? Bogać ta!

Długo jeszcze rozmawiał z niemi Rossi i przyszedł
do przekonania, że chłopci doskonale pojęli korzyść pły-
nącą z związków i całą duszą za niemi obstają.

— Niechnoby kto z nas spróbował sam jeden wystą-
pić przeciw naszym wrogom, co ich pełno mamy,—rozwa-
żali sobie chłopci—niechnoby naprzykład który z gromady
zażądał od dziedzica zmniejszenia czynszu dzierżawnego,
albo niechby się od władzy domagać zaczął sądu spra-
wiedliwego — co by sam wskórał? Nic. Władza rozma-
wiaćby nawet nie chciała z takim zuchwalcem, a dzie-
dzie wypędziłby go precz z dzierżawy — i tyle. A jak
idziemy gromada, w związku — oho! to zaraz inaczej
z nami gadają...

Póki nie było związków, tośma jeden drugiemu
wrywali grunt, co był do zadzierżawienia, jeden

przed drugim podbijaliśmy cenę — a dziedzic zacie-
rał sobie ręce. Teraz wcale co innego. Teraz każdy
obstaje za gromadą, a znów cała gromada, jak jeden,
obstaje za każdym swoim członkiem. Wszyscy się na
jedno godzą — tak ci i teraz niełatwo sobie dać z nami
radę. — Nawet małe dziecko przełamie pojedynczy
pręcik, ale całej wiązce to i siłacz nie poradzi. To samo
i z nami. Póki każdy szedł samopas, w pojedynkę —
to łatwo go było pokonać i nic nie znaczył; a jak
teraz wszyscy trzymamy się kupy i jeden bez drugich
nic nie postanowi, tylko wszystko i zawsze jednością —
to nawet i władza musi słuchać naszych skarg.
Dawniej uwagi na nas nie dawano nijakiej, a teraz —
kto wie — może ta i będą musieli przystać na niejedno
nasze żądanie!...

Oczywiście, że chłopci sycylijscy nie odrazu wszystko
to tak sobie jasno pomiarkowali, nie odrazu pojęli ko-
rzyści ze związków. Z początku wydawała im się ta
rzecz dziwną. Jak to — żeby biedni, zahukani ludziska
mogli o czymś takim myśleć! — to im się z początku
w głowach nie mieściło. Biedny — mówili — powinien
cierpieć i milczeć. „Głową muru nie przebije“ — takie
i tym podobne przypowiaстки, zasłyszane jeszcze od
dziadów i pradziadów, w poddaństwie i uległości cho-
wanych, powtarzali sobie chłopci. — W jaki więc sposób
doszło do tego, że założyli związek? Na pytanie to
właśnie chcemy odpowiedzieć. Zaczęło się od rzeczy
małych i łatwych — od wspólnej obrony przed wyży-
skiem miejscowych sklepikarzy i lichwiarzy. Sklepikarz
spozedaje wszystko drogo a w lichym gatunku; gdy
komu skredytuje, to potym, przy rachunku zawsze coś
doliczy i oszuka; unyślili więc chłopci, czy nie można

byłoby obejść się bez pośrednictwa sklepikarza. Boć nie jest on niczym innym, jak pośrednikiem; sam skupuje na przekup i odprzedaje dopiero z drugiej ręki, a że musi coś zarobić, więc każda rzecz nabyta w sklepiku wypada drożej, niż gdyby ją nabyć z pierwszej ręki, tam skąd on ją kupuje. To umyśliwszy uradzili chłopci tak, by kolejno jeden z nich jeździł do miasta i odrazu zakupywał potrzebne im wszystkim towary, może tym sposobem i taniejby im wypadły i w lepszym były gatunku. Nauczywszy się obchodzić bez sklepiku, spróbowali następnie obchodzić się bez lichwiarza, który wszystkim dobrze się dał we znaki. I tu sposób okazał się bardzo łatwy — założyli kasę oszczędności, skąd w potrzebie można też było zaciągnąć pożyczkę. Po tak łatwych i zachęcających początkach ktoś z chłopów rzucił myśl, że gdyby grunta swoje wydzierżawiali nie z drugiej ręki, to jest nie od spekulanta — dzierżawcy, lecz z pierwszej — czyli od samego właściciela, to dzierżawa wypadła by im taniej. Oczywiście z jednym — właściciel układać by się nie chciał, co innego z gromadą, biorącą odrazu duży szmat ziemi w dzierżawę. Tak też zrobili — wspólnie zadzierżawili od dziedzica kawał gruntu i potym obdzielili się pomiędzy sobą, a po niektórych wsiach wcale nawet nie dzielili gruntu, lecz uprawiali go społecznie a potem dopiero co zebrali, to podzielili sprawiedliwie między sobą. Dopięli więc już trzech rzeczy. Założywszy ze wspólnych pieniędzy kasę pożyczkowo-oszczędnościową, wyzwolili się ze szponów lichwiarza; czyniąc wspólne zakupy, zyskali towar tańszy i lepszy; wspólnie zadzierżawiając grunta, wyzwolili się z wyzysku spekulanta — dzierżawcy. Wszystko co zarabiał na nich lichwiarz, sklepikarz

i spekulant zostało teraz w chłopskiej kieszeni. Naturalnie, że tamtym to nie w smak poszło — i lichwiarz, i sklepikarz i spekulant byli mocno z takiego obrotu rzeczy niezadowoleni i robili co mogliby przeszkodzić związkom. Daremnie jednak pienili się ze złości. Chłopci żadnej uwagi nie zwracali na gniew bezsilny tych pijawek, które tyle czasu wysączyły cheiwie krew chłopską... Przeciwnie, widząc jaką korzyść przynosi społeczne załatwianie swoich interesów, chłopci jeszcze większej nabrali otuchy i taka w nich wstąpiła śmiałość, że umyślili spróbować się teraz z samymi dzierżawcami. Szło o rzecz ważną i trudną, która dotychczas wydawała się prawie niemożliwą, mianowicie o to, by dziedzice taniej wypuszczali swe grunta chłopom w dzierżawę, a również, by lepiej wynagradzali za roboty polne. Do tego trzeba było zupełnej jedności między chłopami i to nietylko w jednej wsi, ale w kilku okolicznych; trzeba było, by wszyscy spółem powzięli jedną uchwałę i by nikt ani w tej wsi, ani w innych nie ważył się odstąpić od tego, co wszyscy uchwalili. Tylko w ten sposób można przyprzeć dziedzica do muru i zmusić do ustępstw. Naprzykład, w czasie żniw — jeśli dziedzic nie przystanie na warunki, jakie postawią chłopci — żeby nikt nie ważył wynajmować się. Tak samo mogą się chłopci umówić i co do dzierżawy — i póki dziedzic nie ustąpi z czynszu — wcale nie zadzierżawiać. Jednemu, drugiemu dziedzicowi dać taką nauczkę, to potym sami się łąścić będą. Ale do tego potrzeba jedności, zupełnej jedności, trzeba żeby się z sobą porozumieli chłopci z wielu wsi i żeby wszyscy święcie trzymali się jednej umowy. W tym właśnie celu chłopci poczęli się zbierać na wspólne narady; naprzód w każdej wsi z osobna uradzą jak

mają robić, potym wybiórą jednego i poślą go po innych wsiach by porozumieć się z tamtymi. I oto w taki sposób powstały pierwsze „związki“. Każda wieś miała swój związek i obierała jednego do porozumiewania się z związkami innych wsi. Ci wybrani przedstawiciele związków różnych wsi zbierali się znów razem i zma- wiali się między sobą; w ten sposób wszystkie związki wzajemnie się popierały i gdy zaś coś uchwalono, to już wszystkie związki trzymały się jednej umowy.

Panom, dziedzicom i wszystkim, którzy dotychczas rządili we wsi, jak szare gęsi — strasznie się to wszystko nie podobało.

Myślą sobie — co robić? I udali się do księży proboszczy, żeby ci wytłómaczyli chłopom, że te związki są na nic. Proboszcze zawsze trzymali z dworem, więc i teraz nie odmówili dziedzicom swej pomocy; ręka ręka myje — tak i tu. Jak tylko kazanie, to już o czym by tam ksiądz nie gadał, zawsze w końcu pocznie gadać o związkach chłopskich. A — że to grzech, że to bardzo niedobre rzeczy chłopci umyślili, a że to do niczego nie prowadzi, że to tylko obraza boska i zatra- cenie duszy — i tym podobne banialuki pletli z ka- zalnicy; mało tego — poczęli straszyć chłopów, że kościół ich wyklnie, że będą potępieni a po śmierci djabeł ugotuje ich w smole. Dziwnym się to wydawało chłopom, bo do niczego złego się nie poczuli; że się bronią od złych ludzi, wyzyskiwaczy, lichwiarzy itp. — to ma być obraza boską? Zapytali się więc księdza — co mają robić i jak będą sobie radzili, gdy porzucą swoje związki, co im tyle korzyści przynoszą? A ksiądz na to: „Co macie robić? a to módlcie się, moje drogie owieczki! Módlcie się, znoście cierpliwie waszą dolę

a za to nie minie was nagroda na tamtym świecie!“ Chłopom się markotno zrobiło i myślą sobie tak:

„A bez co to ksiądz dobrodziej sam nie czekają jakoś na nagrodę po śmierci, ino już teraz, na tym świe- cie, dogadzają sobie i opływają jak klusek w maście; poje- dzą sobie zdrowiuśko, napiją się, odpoczywają choć ta wiele się nie narobią — i jakoś nie mają strachu, żeby im to miało zaszkodzić u Pana Boga? A my — że sobie chcemy poprawić los, by każdy miał choć ta i kęsek chleba — to już nas czeka za to kara w przyszłym życiu! To tak nie może być. Przyszłe życie swoją drogą, a swoją drogą i w tym życiu nie trza opuszczać rąk, trza się ratować i nie dopuszczać, aby na świecie pano- wała niesprawiedliwość „ucisk i uciemnienie!“.

Byli i tacy, co otwarcie a głośno mówili, że księza dlatego obiecują biednym ludziom wielką pomyślność na tamtym świecie, by na tym łatwiej ciągnąć z nich grosz. — Z tamtego świata nikt jeszcze nie wrócił i nie opowiedział jak tam jest, a na tym świecie księ- dzu dobrze się dzieje, gdy ma pełną kaletę.

W ten sposób księza nic a nic związkom chłopskim nie zaszkodzili, raczej zaszkodzili samym sobie; nastra- szyć im się nikogo nie udało, za to wszystkich serca od nich się odwróciły. Przez to i do kościoła chłopci rza- dziej już zaglądali, a wielu nawet za próg swej chaty nie chciało wpuścić czarnej sutanny, pojęli bowiem, że człowiek nią okryty nie jest ich przyjacielem, jest przy- jacielem swej kieszeni i dziedzica. Dziedzice, widząc, że przez księży nic nie wskórali, udali się do naczel- ników, by ci swoją władzą wpłynęli na chłopów. A chłopci — rada w radę — uradzili, że trzeba ko- niecznie i co najprędzej wprowadzić swoich ludzi do

parlamentu i przez parlament ukrócić samowolę naczelników.

Walka poczęła się nadobrze...

ROZDZIAŁ III.

W czasach, gdy Rossi zwiedzał Sycylię, chłopci tamtejsi mieli jeszcze wolność działania; władza ich nie krępowała. Założyciele i przywódcy związków mogli bez przeszkody jeździć po całej wyspie; wszędy zwoływali zebrania ludowe i na tych zebraniach rozpowiadali o środkach, jakimi ulżyć można nędzy ludu. Lud zgromadzał się tłumnie i chętnie przystępował do związków, które powstawały tam nawet, gdzie nie tak dawno nic jeszcze o związkach nie słyszano. I trzeba było widzieć, z jaką radością witał lud, chłopci i robotnicy — swych przywódców! Wielu z nich zyskało już rozgłos po całej wyspie. Ludzie ci bez chwili wytchnienia pracowali na użytek ogółu, gotowi w każdej chwili spieszyć z jednego końca wyspy na drugi, by towarzyszący im dopomóc radą, by budzić otuchę w niepowodzeniu, lub by zawieźć dobrą nowinę o nowym jakim zwycięstwie sprawy ludowej. Niedoświadczonym udzielali wskazówek, jak postępować mają; krzepili na duchu lękliwych i zahukanych; leniwych i obojętnych umieli rozruszać i pobudzić do życia i czynu.

Jeden z takich przywódców ludowych, nazwiskiem Bosko, towarzyszył Rossiemu w wycieczce jego po wyspie. Bosko był młodym jeszcze człowiekiem. Pochodził z niezamożnej rodziny i zarabiał na życie jako rachmistrz w pewnym wielkim domu handlowym

w mieście Palermo, stolicy Sycylii. Był wykształcony i rozgarnięty; z bliska przyjrawszy się nędzy chłopów, głęboko i serdecznie bolał nad ich dołą. Długo przemyślał nad tym, jak by to można polepszyć dołą ludu, dużo czytał, szperał w księgach, wypytywał ludzi uczonych — wreszcie umyślił, że nie będzie kresu cierpieniom ludu, dopóki każdy będzie myślał tylko o samym sobie, nie troszcząc się o innych. Umyślił, iż ludzie powinni żyć jak bracia, społecznie, niby jedną wielką rodziną. — Ziemia, zarówno jak wszystkie fabryki i zakłady przemysłowe, powinny być wspólną własnością i praca winna być społeczną. Każdy zaś, kto pracuje, powinien mieć na równi z towarzyszami prawo do udziału w zyskach, sprawiedliwie odmierzonego. A do kierowania i zarządzania wszelkimi sprawami, któremi dziś zarządzają rozmaici naczelnicy, powinni być za zgodą ogólną obierani ludzie odpowiedni, godni zaufania ogółu; jedni — coby mieli w swej pieczy drogi publiczne i wszelkie komunikacje w kraju; drudzy — coby kierowali pomocą lekarską; inni — do utrzymywania porządku w kraju, inni jeszcze do dozorowania robót i t. d. Słowem — w miejscu „władzy“, naczelników i tym podobnych — ustanowić należy swoich ludzi, od gromady, swoich niejako ofcjalistów, przez gromadę obieranych i którzyby znali nad sobą jedyne go pana — gromadę. Z myślami temi zwierzył się Bosko wszystkim swoim znajomym chłopom i robotnikom i wszystkim usilnie doradzał, by odtąd sprawy swoje załatwiali za ogólnym porozumieniem, za wspólną zgodą, społecznie. Trzymać się kupy obstawiać jeden za drugim jak za sobą samym, żyć jak bracia,

wspólnymi siłami walcząc o lepszą dolę — takie hasło rzucił dzielny ten człowiek.

Wkrótce też przybyło mu towarzyszy, równie jak on, szczerze poświęcających się sprawie ludowej. Po większej części była to młodzież niezamożna, ale bądź co bądź taka, która ukończyła nanki, czytana, wiele umiejająca, oznajmiona z wszystkim, co na świecie się dzieje. Byli tu młodzi doktorzy, prawnicy, nauczyciele szkolni, pisarze młodzi — wszystko ludzie wykształceni, należący do tak zwanej inteligencji, zarazem jednak ludzie pracy, którym grosz sam nie płynął, lecz należało nań zarobić; zatem byli to robotnicy wykształceni — i jako robotnicy, lgnęli sercem więcej do prostego ludu roboczego, niż do nadętych bogaczy.

Otóż z tych to wykształconych robotników, czyli tak zwanej inteligencji głównie szli pierwsi przywódcy i założyciele związków, ale nie brak było w ich liczbie i takich, którzy pochodzili nawet z bardzo bogatych rodzin, młodzieńców, którzy, powziawszy szczerę współczucie dla cierpień ludu, ukochali całą daszą sprawę ludową i dla niej ochotnie wyrzekli się tego życia wygodnego, bez troski, jakie wiedli w domach rodzicielskich. Wielu zerwało zupełnie stosunki ze swymi rodzinami, opuściło swe zaciszne gniazda rodzinne i podążyło w szeregi walczących za sprawę ludu. Jednym z takich dzielnych młodzieńców był naprzykład baron Kolnago, który zasłynął jako jeden z pierwszych założycieli związków; jako potomek starego, magnackiego rodu odziedziczył olbrzymie dobra, lecz cały prawie majątek swój ofiarował na rzecz związków. I takich było więcej. Młody obywatel nazwiskiem Kajetan Rawa z miasta Kanikotti oddał na własność ludowi wszystkie

swe dobra. Syn senatora, Franciszek Perec gorliwie służył sprawie ludowej. Pociągała ona wszystkie zacne serca. Pewien sędzia ukradkiem porozumiewał się z chłopami, usilnie namawiając ich, by zapisywali się do związków. Inny urzędnik wyrzekł się swej posady i wysokiej pensji, jaką pobierał, by móc się poświęcić zakładaniu związków, czego nie mógł czynić będąc na posadzie, gdyż władza patrzyłaby na to nieprzychylnie. — Tak więc we wszystkich stanach, we wszystkich klasach znaleźli się ludzie uczciwi, którzy nie mogli bez zgrozy patrzeć na nędzę i ucisk ludu, nie mogli spokojnie zasiadać do jedzenia i picia, gdy dokoła było tylu głodnych. Niektórzy musieli pozrywać stosunki ze swymi krewnymi i znajomymi, którym w głowie się nie mieściło, by człowiek „z wyższego stanu“ mógł przejść na stronę „chłopstwa“ i wespół z tym chłopstwem iść przeciwko swoim! Wymyślano na nich, potępiano, przezywano „odszczepieńcami“, „zdrajcami“, rzucano na nich brudne potwarze, mówiono, że ci „odszczepieńcy“ przeszli na stronę ludu po to tylko, by go zbuntować, a następnie z pomocą zbuntowanego ludu pochwyć w swe ręce władzę. Niepodobna było tym nędznym potwarcom wytłumaczyć, że się mylą, gdyż oni sądzili innych podług siebie. Dla nich szczytem szczęścia na świecie był worek, dobrze wypchany pieniędzmi, dobra posada, wygodne życie itp. — jakże więc mogli uwierzyć, iż ktoś dla szczęścia bliźnich swoich gotów jest wyrzec się osobistych wygod i zysków! Niechby zeszedł z nieba anioł w własnej postaci — oni jeszcze nie daliby wiary, że ten anioł jest naprawdę dobry; powiedzieliby, że anioł udaje dobrego, bo chce zrobić jakiś zyskowny interes...

Za to chłopci umieli ocenić swoich przywódców, nie

mieli dość pochwał dla nich, przyłgnęli do nich całym sercem. Zwłaszcza polubiono jednego, nazwiskiem Defelicze. Był to młody jeszcze mężczyzna, piękny jak malowanie, wielki siłacz, obdarzony nadto dzwicznym i donośnym głosem. Gdy na zgromadzeniu poczynął przemawiać do ludu, słuchano go z największą uwagą i przyjemnością. Był to prawdziwy apostoł ludowy, każde jego słowo zapadało w głąb serc chłopskich, poruszało je do głębi. — Rossi i Bosko spotkali się z nim w drodze i pojechali dalej razem. Lud wszędzie witał ich z zachwytem i szacunkiem. Gdzie tylko dowiedziano się, iż jedzie Defelicze, włościanie tłumnie wychodzili naprzeciw, z muzyką i pieśniami; kobiety i dzieci kwiatami zarzucały drogę przed nim. I jakże wszyscy garnęli się, spiesząc jeden przez drugiego, by uścisnąć dłoń Defelicza, który z wszystkimi był jak brat!

Wogóle lud przywódcom swoim, za pracę ich i poświęcenie, wypłacał sercem i bezgraniczną wdzięcznością. Gdy kiedyś Rossi wspomniał chłopom o potwarzach, jakie na przywódców związków miotają obywatele, chłopci z zapalem wykrzyknęli: „Aniołowie z nieba, gdyby Bóg ich zesłał, nie mogliby służyć nam wierniej i lepiej niż Bosko i Defelicze. Oni otworzyli nam oczy, pokazali prawdę. Żyłimy dotychczas w ciemnościach, teraz przejrzaaliśmy, widzimy jasne słońce prawdy, co je oni zapalili!“

Innym razem zdarzyło się, że jeden z najulubieńszych przywódców ludowych, niejaki Andrzej Kosta, przybył do pewnej wielkiej wsi zupełnie niespodzianie. Gdy wieść się o tym rozeszła, część mieszkańców pobiegła na stację kolei i starała się zatrzymać Kostę na stacji przez jakieś pół godziny, a przez ten czas inni

coprędzej urządzili przy wjeździe do wsi piękną bramę z gałęzi, przybraną zielenią, kwiatami i różnobarwnymi wstęgami. Gdy wszystko było gotowe, dopiero uroczyście, z muzyką i pieśniami, wprowadzono Kostę do wsi. — W taki oto prosty a serdeczny sposób czcili chłopcy swych przywódców. — Natomiast obywatele wygadywali na przywódców niestworzone rzeczy; rozgłaszali, że to oni są winą wszystkiego; że bez nich chłopcy siedzieliby spokojnie i znosili swą dolę cierpliwie, jak dawniej, że chłopcy jak barany idą teraz posłusznie za swymi przywódcami, ale nie wiedzą nawet, dokąd tamci ich wiedzą. Rossi, chcąc sprawdzić, czy tak jest istotnie, jak twierdzą obywatele, nigdy nie opuszczał sposobności, by wypytał samych chłopów i od nich dowiedzieć się prawdy.

W pewnym siole, na zgromadzeniu związkowych, dostrzegł Rossi chłopca starszka sześćdziesięcioletniego i zapytał go:

— Powiedźcie mi, mój ojcie, dla czego łączycie się w związki? Co was do tego skłania? co wy chcecie osiągnąć?

— Ano chcemy chleba i pracy, — odrzekł starszec — a nadzieja nasza caluśka w onych związkach, co się o nie zapytujecie. Związki to nasza ucieczka i ratunek. Panowie z nas skórę zdzierali — dlatego umyśliłiśmy, żeby się łączyć; niech przed panami staję nie jeden chłop, a cała gromada; obaczmy, czy będą mogli nas tak krzywdzić jak dawniej. Długośma już cierpieli, czekali i niczego się nie doczekali; czas ci jest wypróbować nasze własne środki i sposoby. Do tego czasu panowie rozrachowywali się z nami podług swoich książeczek; teraz z niemi się rozrachują nasze związki, po swojemu.

— A co będzie, gdy rząd rozwiąże wasze związki?

— Tego nie będzie! Związki to nasze najświętsze prawo, nikomu nam tego nie zabronić. Nigdy na to zgody w narodzie nie będzie, żeby nam związki odebrano.

— A jeśli przyślą na was siłę wojskową?

— Ha! to lepiej umrzeć, niż wyrzec się związków; lepiej odrazu zginąć, niż żyć jako te psy, bo psi żywot był ci chłopski żywot.

— No, a co o związkach mówią wasi księża?

— Ba, jużci że nie chwalą, bo i jak chwalić mają, kiedy księża nie z nami trzymają, a z panami — odrzekł starzec.

Z rozmowy tej Rossi przekonał się, że nawet starym ludziom wiejskim związki są po myśli, a przecież starzy zwykle niechętni są wszelkim zmianom i nowościom!

W innej znów wiosce, również na zebraniu miejscowego związku, miał Rossi taką z chłopami rozmowę:

— Słyszałem, — odezwał się — że ci, co należą do związków, nazywają się socjalistami. Powiedźcie mi, co w mniemaniu waszym, nazwa ta oznacza?

— Nazywamy się socjalistami dlatego — odpowiedziano mu, że chcemy aby wszystka ziemia była wspólną własnością i żeby gospodarka była wspólną; żeby nie było pracowników biednych a próżniaków bogatych. Każdy niech ma co jeść i z czego żyć.

— A jakie teraz wasze życie?

— Chcecie, panie, wiedzieć, jakie teraz nasze życie? Dobrze — ja to opowiem — odezwał się jeden z obecnych. Szczęsioro dzieci mam i cały tydzień nawet suchego kawałka chleba w gębieśmy nie mieli. Jarzyn jeszcze trocha jest i tym się ratujemy od głodu...

— A ja dożyłem ci już pięćdziesiątki — wykrzyknął wychudzony i oberwany wieśniak — a niech pan zawierza, nie jadłem w życiu ni raz mięsa...

— A są tacy dziedzice — dodał trzeci — że nawet ziela niektórego zbierać nam nie dadzą, bo to — mówią — dla bydła potrzebne, więc człowiekowi rwać nie wolno!

— Zbójami przezywają wszystkich, kto tylko należy do związku — odezwał się ten, co pierwszy przemawiał — nienawidzą nas; nasze związki kością w gardle im stały. Niektórzy dziedzice brać nas do robót nie chcą całkiem, a ino wyszukują sobie ludzi z inszych wsi, gdzie niema jeszcze związków.

— No — a na przyszłość jak sądzicie, czy z czasem będzie wam lepiej?

— A ino! — a jak nam się nie uda dobrym sposobem, to będziemy sobie radzić inaczej; cierpieć dłużej i znosić ucisk i nędzę wszystką, nie ścierpimy. Bo i z nas nie zdziera ino ten, kto nie może. Pożyczysz zimową porą rubla — w jesieni oddaj dwa.

— Czy wszyscy dziedzice są tak nikczemni?

— Trafi się jeden z drugim uczciwy, ale coś bardzo rzadko.

— Wy się skarżycie na dziedziców, a oni znów na was. Mówią oto, że przeszłego lata pobraliście im dużo siana. Prawdaż to?

— Sami spalili, żeby dostać asekurację, a na nas zwalili, że to my, że to związki nasze...

— Gwałtem chciało im się, żeby tu na nas przysłano wojsko. Ano stało się, jak chcieli. Wojska nam nasłano całą hurmę — ale my i teraz nie dama się, związków nie popuścimy.

Coprawda, wieśniacy przewidywali, że żołnierze

nie bardzo będą radzi iść na nich. Przecież to bracia, dzieci ludu; niepodobna, żeby nie ocknęło się w nich współczucie dla swoich. I rzeczywiście tak było; ostatniemi czasy zarówno wśród żołnierzy jak oficerów dużo można było naliczyć takich, którzy odczuwali niedolę wieśniacza i rozumieli, że taki stan rzeczy dłużej trwać nie może. Z jednym z takich oficerów Rossi podczas wycieczki swej po Sycylii przypadkowo zaznajomił się w wagonie.

— Pewnego razu — opowiedział mu ów oficer — zatrzymałem się z memi żołnierzami na postoju w małej wioszczynie. Odbiliśmy tylko co długi, męczący pochód; upał był straszliwy i wstąpiłem do dworu, by napić się wody i trafiłem akurat na chwilę, kiedy dziedzic obrachowywał się z wieśniakami, którzy — jak to w całej Sycylii się praktykuje — odrabiali mu w polu nie za pieniądze, lecz za pewną część zbioru. Otóż byłem świadkiem, jak przemieszano wszystko zboże, poczym dziedzic każdemu z osobna wydzielał przypadającą nań część zbioru; widziałem, iż pewnemu wieśniakowi dostała się jedna jedyna miarka żyta. Za całą jego pracę! Biedak stał jak skamieniały, pełnym rozpaczy okiem spoglądając to na swą żonę i pięcioro dzieci, które skupiły się przy nim, to na ową nieszczęsną miarkę żyta, która ma ich wszystkich przeżywić aż do przyszłorocznych żniw. To znaczy — cały rok męczarni, cały rok powolnego konania z głodu! Nie wyrzekł ani słowa, tylko dwie wielkie łzy zwolna spływały po jego pomarszczonej i uznozonej twarzy. — Tego widoku nie zapomnę, póki żyć będę! A byli tam wieśniacy jeszcze nieszczęśliwsi od niego, byli tacy, którym nie tylko, że się nic zboża nie dostało, ale którzy zostali jeszcze

winni dziedzicowi... Tak, tak — tutaj wojsko nie pomoże, trzeba jakiejś innej rady...

To samo, co do słowa, mówili chłopci.

„Niechby ta rząd lepiej dziedzicom nakazał, żeby nam wypuszczali ziemię za połowę zbioru, a to wojsko nasyła na naród. Niechby się rząd chłopskiej krzywdy ujął, to uwierzylibyśmy wtedy, że nam dobrze życzą i byłoby cicho, spokojnie wszędzie po wsiach. I wojska by nie potrza! Ale jeśli zechcą zmóc nas siłą, rozwiązać i porozpędzać nasze związki — to zobaczymy jeszcze... My ta znajdziemy broń... Nie ścierpiemy, żeby z nami postępowano, jak z bydem! Od nikogo nic się nam nie spodziewać, na nikim nam nie polegać, ino na samych sobie. Ano damy już sobie teraz rady!“

Nie były to próżne słowa. Rossi na własne oczy widział, jak chłopci stają w obronie swoich praw. Pewnego razu trafił on na zgromadzenie, na którym toczyły się układy pomiędzy pełnomocnikami włościańskiego związku i kilkoma dziedzicami. Włościanie domagali się obniżenia czynszu dzierżawnego. Powoływali się na ciężkie czasy. „Już i tak głodem przymieramy — mówili — mamy pełno długów; kładzie się człek spać i nie wie, czy jutro będzie miał co jeść.“ Dziedzice, długo ani nie chcieli słyszeć o żadnych ustępstwach; przytaczali ze swej strony, że zboże coraz to tańsze, że dochody coraz to zmniejszają się, a rząd powiększył podatek gruntowy. Z tych powodów żadną miarą nie ustąpić nie mogą. Wtym, gdy się tak spierają, wtrącił się do rozmowy przywódca jednego z sąsiednich związków. Okazało się, że on sam jest właścicielem majątku; był to jeden z tych niewielu dziedziców, których serce ciągnęło do ludu. Opowiedział, że on również wypuszcza swą ziemię

chłopom w dzierżawę i choć bierze od nich daleko taniej, niż inni obywatele, jednak i tak mu się to opłaca. Obliczył wszystko i jasno, jak na dłoni wykazał, że obniżenie czynszów wcale dziedziców nie zrukuje. W ten sposób przyparci do muru dziedzice, musieli się zgodzić na ustępstwo. Prócz tego, na zebraniu owym, włościanie nastawali jeszcze i na to, by nie były zawierane, jak dawniej, umowy między dziedzicem i każdym z włościan z osobna, lecz od razu jedna umowa z pełnomocnikami, stającymi w imieniu całego związku. Pojedynczy człowiek łatwiej może uleść, zmieszać się, gdy tymczasem związek skrzywdzić się nie da. Właściciele i na to się zgodzili. Zresztą, było to korzystne dla nich, gdyż związek poręczał rzetelną i akuratną wypłatę czynszu.

Gdy o tej umowie wieść się rozeszła, zapanowała po wsiach radość wielka, powszechna. — Nie wszędzie jednak, niestety, sprawa tak pomyślnie załatwić się dała. Znalazło się wielu dziedziców, którzy woleli ziemię swą pustkowiec zostawić, a w żadne dobrowolne umowy z związkami włościańskimi wejść nie chcieli.

Kiedy indziej znów Rossi był na zebraniu, które omawiało właśnie projekt, aby społecznie objąć w dzierżawę młyn parowy. Naprzykrzyło się już włościanom z bogać miejscowego młynarza, który zdierał bajeczne pieniądze za mlewo, umyślili więc wziąć młyn w dzierżawę na rachunek całego związku, zysk zaś, osiągnięty z mlewa obracać na użytek ogólny. To także była bardzo dobra myśl.

W miasteczku Korleone, przywódca tamtejszego związku również wiele zajmujących rzeczy opowiedział Rossiemu.

— Do związku naszego — mówił — należy już

sześć tysięcy włościan — mężczyzn i kobiet; po prawdzie cała ludność jest w związku, chociaż niektórzy nie wpisali się formalnie. Nie robimy różnicy między wpisanymi i niewpisanymi. Tylko kilku wzbogaconych włościan beczy się na związek. Od roku, jak istnieje nasz związek, wszyscy należący doń dobrze już pojęli korzyść, co z niego płynie, zwłaszcza kobiety: starają się one wszelkimi siłami, by dzieciom swoim od małego wytłumaczyć pożytek, wpoić w nie miłość i szacunek dla związków włościańskich. I dobrze robią — bo co mogło się nie udać ojcom i dziadom, to uda się tym dzieciom — kiedy podrosną i kiedy od małego będą wiedziały, że „związek“ to siła i potęga jedyna i że z jej pomocą osiągną lepszą dolę. Dzieci — to przyszłość i nadzieja. Wiedzą o tem włościanki sycylijskie i dlatego tak gorliwie sieją w młodych główkach i sercach szacunek dla „związku“!

Tak mówił przywódca związku w Korleone i dodał, że włościanie już teraz osiągnęli duże korzyści ze związku, niektórzy bowiem dziedzice już się zgodzili wypuścić ziemię za połowę zbioru, czego dawniej nigdy w tych stronach nie bywało. Są wprawdzie i tacy, którzy zgodzić się nie chcą i to jedynie z pychy. Jaktó, żeby tacy magnaci i szlachetnie urodzeni panowie mieli ustąpić „chłopskim“ związkowi! Za to też nikt u nich gruntu nie bierze w dzierżawę i to jest najdotkliwszą dla nich karą. Koniec końcem i oni z czasem będą musieli uleść żądaniom związku.

— Jednakże — wtrącił Rossi — tracą na tym i włościanie. Bo i jakże przeżyją nie mając ziemi i roboty?

— Pomyśleliśmy już o tym — odparł przywódca

związku — będziemy ich wspierali z funduszu, co jest na ten cel właśnie przeznaczony. Założyliśmy taką kasę i mamy już w niej sporo grosza — a także chleba, zboża i t. d. — wszystko to na wsparcie dla tamtych. I choć z tego powodu poniesiemy teraz trochę wydatków, ale potem wszystko to się nam wróci. Na ten przykład — gdy w żniwa dziedzic będzie potrzebował robotnika, zobaczy pan, że nikt do niego nie pójdzie taniej, niż za półtora rubla w dzień. Taka już między nami umowa, a niech tylko coś postanowią wszyscy razem, to musi się tak stać. Byle trzymać się kupy, jeden drugiego. Dziedzice też mają swoje wybiegi; w przeszłym roku umyślili sobie dokuczyć „związkom“; a że to akurat nam przybrało zboża — nie chcieli ani nam sprzedać, ani pożyczyć. — A my — po rozum do głowy — no i założyliśmy swój własny sklep społeczny i w nim sprzedawaliśmy żyto, taniej jeszcze, niż w pierw dziedzice. A kto nam rozumu tego napędził? Związki! — Dużo dobrego nam one przyniosły. My — widzi pan — nie napróżno w związkach zwiemy jeden drugiego braćmi, bo prawdziwie, że braćmi sobie jesteśmy. U nas nigdy się nie zdarza, żeby jeden na drugiego się skarżył, czy to władzy, czy to do sądu. Wszelkie spory pomiędzy członkami związku sądzą nasi obrani do tego ludzie, nigdy żaden sąd, ani insza władza.

I to było najczystsza prawda. Rossi sam się o tem przekonał. Pewnego razu, zwiedzając dużą wieś, w niedzielę, zauważył, iż kilku mężczyzn obchodzi kolejno wszystkie traktjarnie i piwiarnie. Okazało się, iż spełniają oni czynność zleconą im przez związek. Oto mają zaglądać do każdej traktjarni i gdy spostrzegą, iż który z braci przebrał miarkę, natychmiast podchodzą do niego, wytłumaczają mu, skłonią go do pójscia do domu,

nie pozwolą mu wmieszać się do żadnej kłótni lub awantury. Jeśli się opiera, to go zawstydzą, powiedzą mu, że hańbi swój związek — i to już zawsze skutkuje. Jest wiele takich związków, których członkowie raz na zawsze odrzekli się picia.

Wiele zajmujących rzeczy o związkach nasłuchał się Rossi od owego Bosko, z którym razem odbywał podróż po Sycylii.

— My już teraz wszędzie mamy wielu swoich towarzyszy — opowiadał Bosko — teraz nie mamy się już czego bać. Związki nasze liczą przeszło trzysta tysięcy towarzyszy. Przecież takiej liczby ludzi rząd nie może przyaresztować! Mogą przyaresztować naprzykład — nas, przywódców. Ale i cóż z tego! Myśmy już zawczasu przygotowali tajemnie swoich następców, których policja nie zna. Gdyby nas zabrano, tamci poprowadzą dalej naszą robotę. O! teraz już nie tak to łatwo dać sobie z nami radę.

— Wszak rząd przysyłał tutaj jakieś urzędnika swojego? — zapytał Rossi. Cóż on tu robił?

— Wiadomo co. Naradzał się wciąż z innemi tu-tejszemi urzędnikami, a także z wojskowemi naczelnikami i z dziedzicami, a zawsze pocichu i w cztery oczy. Czego zresztą spodziewać się po urzędniku? Wieśniacy dawno już niczego się od władzy nie spodziewają; wiedzą dobrze, kto im sprzyja, kto zaś wrogiem jest; przekonali się dowodnie, że my jedni jesteśmy wiernymi i prawdziwymi ich przyjaciółmi. Już z tego jednego, że władza nas tak nienawidzi i radaby w łyżce wody nas potopić, włóścianie pomiarkowali, że to my właśnie pragniemy ich dobra. Władza, wszyscy ci naczelnicy, wszyscy silni świata umyślnie starali się trzymać lud w największej

ciemnocie, bo z tego mieli korzyść. A my właśnie usiłujemy oświecić lud, zwalczyć, rozegnać ten gruby mrok, w którym przez wieki całe starano się go trzymać. Któż, jak nie my, powiedział ludowi, że lud sam nie wie, jaką stanowi siłę, jaka w nim potęga; potrzeba tylko, by lud raz już wreszcie otworzył oczy na wszystko, co go otacza. I niedaleką już ta chwila, gdy lud zrozumie co się w koło niego dzieje; każdy dzień przybliża tę chwilę. Nie spodziewał się tego rząd, ani obywatele, ani bogacze; nikt się nie spodziewał, iż przebudzenie ludu tak rychło nastąpi; teraz dopiero wszyscy spostrzegli swą omyłkę, chcieliby zażegnać burzę — ale zapóźno! Lud już się budzi. Żadna potęga nie zdoła już temu zapobiedz. Wszystko dokoła budzi lud, wstrząsa nim, powołuje do życia i czynu. I przedewszystkim, właśnie sami obywatele uciskiem i wyzyskiem płoszą sen ludu; tożsamo i władza swą niesprawiedliwością i stronnością. Zresztą i chłop dzisiejszy nie jest już tym dawnym ciemnym człowiekiem; szkoła, książki, gazety, ludzie dobrej woli — wszyscy i wszystko powoli otwierają mu oczy. Dawne czasy poddaństwa i ślepej uległości nie wrócą nigdy, przenigdy!

— Piękny jest wasz cel — odrzekł Rossi — ale nie łatwy do osiągnięcia. Trzeba, by cały lud roboczy pojął, o co idzie, a to jeszcze nie tak zaraz nastąpi. Wogóle od jednego zamachu nic nigdy nie daje się zrobić; potrzeba na wszystko czasu i wytrwałości. Powiedz-że mi pan, proszę, co też dotychczas udało się wam osiągnąć, w czym polepszyła się dola ludu prostego w tych stronach?

— Staramy się wszelkimi siłami doli włościanina ulżyć — odparł Bosko — wspólnie zbieramy i zaoszczędzamy

grosz, by w ciężkiej jakiejś potrzebie móc każdego wspomóc. Założyliśmy — podobnie, jak to ma miejsce w innych wioskach — społeczną kasę, do której każdy członek naszego związku wpłaca rocznie pół rubla. Jeśli komu za ciężko odrazu, to może płacić częściowo, po parę kopiejek, gdy mu zbywa. W niektórych wypadkach dajemy pomoc składową; gdy n. p. padnie komu z towarzyszy krowa, urządza się składkę, każdy daje po jakieś 5 kop. i za te pieniądze nabywa się dlań inną. To pomoc braterska. Tak samo robimy, gdy kogo z braci dotknie choroba lub nawiedzi pożar. Pomoc wzajemna, to pierwsza z korzyści już osiągniętych; prócz tego zaś łączą się wieśniacy i robotnicy w tym celu, by społecznie czynić zakupy wszystkiego, co im potrzeba. Kupując hurtownie i z pierwszej ręki, nie od przekupni — mają towar lepszy i taniej im wypada. Dalej — tworzą spółki, by razem, społecznie, ziemię brać w dzierżawę; zadzierżawiają społecznie duży kawał ziemi, który następnie już, między sobą, dzielą na mniejsze lub — jeśli niedogodnie im dzielić — to uprawiają cały kawał społecznie, a potem dopiero, co zbiorą, to podzielą między sobą sprawiedliwie. Dalej — związek nasz zapewnia wszystkim towarzyszom pomoc lekarską, a to w ten sposób, iż ugodzi lekarza rocznie; związek płaci mu pensję, a on każdego towarzysza związku — gdy zachoruje — leczy bezpłatnie. To wypada daleko taniej, gdyż lekarz, który dostaje pieniądze odrazu, czyni duże ustępstwa. Toż samo z lekarstwami. Aptekarz pojedynczemu chłopu nic na lekarstwie nie ustąpi, co innego jednak, gdy cały związek zawiera umowę, że u niego będzie się brało wszelkie leki przez cały rok. Wtedy aptekarz może dużo opuścić, a pomimo to, jeszcze ma

dobry zarobek, co widać z tego, że jeden przez drugiego starają się oni, by zawrzeć umowę ze związkiem. Niektóre związki zamawiają sobie nawet i adwokata rocznego; płaci się mu odrazu za cały rok, a on już potem każdemu towarzyszowi związku — gdy zajdzie potrzeba — pisze wszelkie prośby, skargi, udziela rad, prowadzi sprawy w sądzie, nie biorąc już żadnej dodatkowej od nikogo płacy. A trzeba też powiedzieć i o szkołach, które zakładamy dla dorosłych: niepiśmiennych — uczą tam pisać i czytać, piśmienni zaś uczą się wszelkich praw i przepisów, obowiązujących w naszym kraju i w innych państwach. Ale nie tylko o oświatę troszczą się związki; dbają one i o moralność, o dobre prowadzenie się swych towarzyszy; dbają, by nie włączyli się po szynkach i tym podobnych miejscach, których odwiedzanie nie jest wcale zaszczytne dla uczciwego pracownika; by zaś tym skuteczniej odciągnąć towarzyszy od szynku, związki najmują osobny lokal, osobną chatę lub izbę dużą, gdzie towarzysze mogliby się schodzić, zbierać, porozmawiać z sobą, pośpiewać, potańczyć — słowem rozerwać się godziwie, bez pijatyki i awantur. W takiej gospodzie towarzyskiej zawsze znajdzie się gazeta, a w niej ciekawe wieści z całego świata; prócz tego — przy tych gospodach mieszczą się czytelnia ludowe, biblioteki; czasem w sali gospody młodzież urządzi sobie teatr i odegra jaką ładną sztukę na podobieństwo tych, jakie aktorzy grywają w prawdziwych teatrach miejskich.

Rossi zwiedził wiele takich gospód, założonych przez związki włościańskie. Niektóre gospody miały po kilka izb, obszernych i pięknie przystrojonych. Ściany ozdobione były obrazami lub napisami pięknie wykonanymi, a treścią swą przypominającymi obecnym zasady spra-

wiedliwości i braterstwa. — W pierwszej izbie, zaraz na wstępie, urządzony był rodzaj wystawy, z porozkładanymi i rozwieszonymi próbkami różnych materiałów wełnianych, sukiennych, kortowych. również płócien cieńszych i grubszych, perkalu i t. p., a przy każdej próbce umieszczona była cena wraz z wskazówką, gdzie po tej cenie towar ten nabyć można. Ceny wszystkich towarów były zatwierdzone przez związek na zasadzie umowy z kupcami, bo trzeba wiedzieć, że do związku należeli także niektórzy właściciele sklepów i warsztatów szewskich, krawieckich i t. d., i ci właśnie umawiali się, że będą towarzyszom swoim sprzedawać towary według innej, tańszej, niż dla obcych taksy. Takę tę zatwierdził związek. W gospodzie umieszczone też były sztandary związku z odpowiednimi napisami; na ścianach portrety ludzi zasłużonych sprawie ludowej; na stołach porozkładane były gazety i książki, wyjaśniające pożytek, jaki płynie ze związków, lub zawierające wiadomości potrzebne ludziom roboczym. Bardzo się Rossiemu podobało całe urządzenie gospód.

Zagadywał Rossi i o związkach chłopskich z dzieżdicami, ale ci nie posiadali się ze złości, mówiąc o związkach. „To są szajki zbójeckie — wołali — to jakiś djabelski wymysł! Co tym ludziom przyszło do głowy; oni sobie żarty z nas robią, ale zobaczymy jeszcze, kto kogo przemoże!“ Rossi śmiał się w duchu z ich bezsilnego gniewu, który najlepiej świadczył, iż bliskim już zwycięstwo sprawy ludowej....

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Opowiemy teraz po porządku, jak i co się stało po tym z owemi chłopami i związkami robotniczymi, które widział i opisał Rossi.

Jawnie i prawnie istniały związki niezbyt długo, ale przez ten czas rozwijały się niesłychanie szybko. W sierpniu 1892 roku na zjeździe inteligencji i miejskiego ludu roboczego, znany nam już Bosko, po raz pierwszy rozповідаł o tym, jak to na Sycylii powstawały wśród włościan związki i twierdził, że wkrótce rozpowszechnią się one jeszcze bardziej, że przystąpi do nich lud wszędzie. Nie chciano mu wtedy wierzyć.... A jednak po roku związki liczyły już siedemdziesiąt tysięcy członków. a jeszcze po roku liczba ta podwoiła się.... Oczywiście, do powodzenia związków wiele przyczyniło się to, że w początkach pozostawiono im wolność. Przywódcy związków mogli sobie jawnie wszędzie jeździć, mogli nawoływać lud do tworzenia związków, przemawiać na zebraniach i publicznie wszystkim tłumaczyć pożytek związków. W wielu miejscowościach związki wydawały nawet swoje gazety, chłopskie, popierające interesy ludu roboczego. Najbardziej rozpowszechniona z tych gazet nosiła nazwę: „Sprawiedliwość społeczna“. Pisano w niej o wszystkim, co dotyczy włościan, o wszystkim, co ich zająć mogło i o czym włościanie wiedzieć powinni, pisali w tej gazecie ludzie nasi, zaufani, którzy na światło dzienne wyciągali wszystkie krzywdy, wszelki ucisk, którego ofiarą pada lud prosty. Prócz tego wydawano dla włościan mnóstwo książek w tym samym rodzaju. Miały one wielkie powodze-

nie wśród ludu, chciwie zwłaszcza czytano książeczkę pod nazwą: „Związki ludzi roboczych“ — którą napisał Bosko. — Zakładano czytelnie, biblioteki, szkoły, w których uczono pisać, czytać i rachować.

Był czas, że i we Włoszech bez pozwolenia zwierzchności nie można było tworzyć związków żadnych, ani zakładać szkół, lub bibliotek, nie wolno było bez pozwolenia drukować książek, ani gazet. I w innych państwach różnemi czasy bywało tak samo; w jednych minął już ten czas, w innych przemija dopiero i to powoli... Wszędzie lud musiał zdobywać sobie dopiero swobodę i nigdzie, w żadnym kraju nie przyszło mu to odrazu i bez trudności; wolność musiano sobie wywalczyć po trochu, gdzie nie udało się siłą, to chytrością, dobrze obmyślanym podstępem. Zdawało się np., że w jakimś kraju zabroniono ludowi łączyć się w związki ku obronie swych praw. Cóż tedy robić? Rada w radę — i ludzie poczynają zakładać dla oka rozmaite takie spółki i stowarzyszenia, których już władza zabronić nie może; założą, na przykład, stowarzyszenie dla wspólnego zakupna nasion, nawozów, maszyny jakiejś, jakichś niezbędnych w gospodarstwie towarów i t. p., lub stowarzyszenie dla ulepszenia fachu swego, lub kasę wzajemnej pomocy — lub coś innego, ale koniecznie coś takiego, czego rząd nie może zabronić, co jest prawem dozwolone — i korzystając z takiej spółki, założonej tylko dla oka, ludzie schodzą się, zbierają, gadają o swoich sprawach i po trochu przyuczają się do tego, by o wszystkim stanowić społecznie, by trzymać się kupy, o wszystkim radzić wspólnie, jeden bez drugiego nic nie poczynać. Władza nie może się do nich jawnie przyczepić, bo niema o co a oni tymczasem już się porozumiewają i potym wszel-

kie sprawy swoje załatwiają społecznie — jak jeden mąż, a potem i towarzyszków sobie werbuja, i urastaja w wielką gromadę. Wtedy już i władza musi się z nimi liczyć i bardziej skora staje się do ustępstw.

Zdarza się i tak, że rząd z początku da ludowi trochę wolności, ale zaraz potem pożałuje i chce napowrót odebrać to, co dał. Właśnie tak się stało w Sycylii. — Wskutek ciągłych skarg dziedziców na związki chłopskie, rząd umyślił zabronić chłopom zakładania związków, odrazu jednak zabronić było rządowi jakoś nijako, czekano więc tylko sposobnej chwili, by móc się do chłopów przyczepić.

Zdarzyło się właśnie, że w pewnej miejscowości, zowiącej się Kalawaturo, włościanie mieli spór z sąsiednią drobną szlachtą o kawałek pastwiska, który do tego czasu był we władaniu włościan, ale jak sprawa poszła przed sądy, to szlachta wygrała. Wtedy chłopci całą gromadą, spokojnie, w największym porządku — zeszedli na ów grunt i nikomu nic złego nie czyniąc, powypędzali tylko stróży, postawionych przez szlachtę do pilnowania owego kawałka — i objęli napowrót w posiadanie to, co słusznie im się należało. Szlachta w krzyk; poleciała ze skargą do naczelnika. Naczelnik posłał wojsko, chłopci jednak nie chcieli ustąpić, mówiąc, że to grunt ich. Wtedy naczelnik, nie wiele myśląc, kazał strzelać do bezbronnego i spokojnie zachowującego się tłumu; padło trupem dziesięciu włościan... Wiść o tym obiegła cały kraj; zagadano o tym i w parlamencie, gdzie zasiadają obrani przez naród deputowani, czyli posłowie; znalazł się między nimi jeden śmielszy, niejaki Kolajani; ten na posiedzeniu parlamentu, gdy obecni byli wszyscy ministrowie, począł im robić wymówki — że jakto mógł

rząd pozwolić na to, by strzelano do bezbronnego ludu — i przepowiadał, że jeśli rząd nie zmieni swego postępowania, to mogą nastąpić wielkie zaburzenia w kraju. Naturalnie ministrowie zaczęli się uniewinniać, mówili, że nikt tego nie chciał, że to stało się przypadkiem. — Przypadkiem zastrzelono dziesięciu ludzi!

Niewiele czasu upłynęło i znów taki sam przypadek powtórzył się w innej miejscowości Kastelwetrano, gdzie znów padło kilka ofiar. Teraz to już tak wyglądało, jakby rząd umyślnie chciał podrażnić cały naród. I tak było. Rządowi szło o to, by za jakąkolwiek bądź cenę zakazać związków, chciano więc znaleźć jakąś przyczepkę, chciano winę tych smutnych zajść, w których pod strzałami padło tyle ofiar — zrzucić na związki; chciano znaleźć sposobność do powiedzenia, że gdyby nie było związków chłopskich, toby nie było i tych zajść i ofiar... W istocie poczęto teraz na każdym niemal kroku czepiać się związków. Wielu przywódców aresztowano, zarzucając im różne niebываłe rzeczy. Jednych oskarżono, iż buntują chłopów; drugich — iż byli hersztami zbójeckich szajek. Ale gdy sprawa przyszła przed sąd, nie znaleziono najmniejszego dowodu ich winy i wyszło na jaw, że całe oskarżenie było gołosłowne. Podsądnych musiano uniewinnić, lub też przyczepiwszy się o jakąś drobnostkę — poprzestać na wymierzeniu im jakiejś lekkiej kary. — W pewnej miejscowości przyaresztowano z pogwałceniem prawa mnóstwo chłopów za to, iż dwanaście wsi zmówiło się, by póty nie najmować się u miejscowych dziedziców, póki ci nie zmniejszą chłopom czynszu dzierżawnego.

Po innych miejscowościach zdarzało się, iż policjanci wpadali do siedziby związku, robili rewizję, rwali

na kawałki sztandary, pustoszyli całe mieszkanie. Ale nic to wszystko nie pomagało. Chłopi jeszcze bardziej przywiązywali się do swoich związków. Im bardziej zżartą stawała się nienawiść dziedziców do związków, im srożej prześladowała je władza, tem więcej wzrastała gotowość chłopów, by je do upadłego bronić. Gdy zaaresztowano przywódcę, lub którego z członków związku, wszyscy, co zostali na wolności, mieli sobie za święty obowiązek dbać zarówno o potrzeby uwięzionych, jak i o los ich rodzin, wspomagano ich pieniędzmi i czym się dało; zamawiano adwokata, by bronił tamtych na sądzie. Jeśli zapadł wyrok, skazujący tamtych na karę pieniężną — robiono składkę i płacono za nich.

W październiku 1892 roku jednocześnie w dwóch miejscowościach chłopi wybrali na deputowanego do parlamentu jednego z najgorętszych swych przyjaciół, Defelicze, o którym już poprzednio opowiadaliśmy. W końcu tegoż roku obrano jeden główny, czyli centralny Komitet nad wszystkimi związkami z całej wyspy. Do Komitetu powołano ludzi najlepszych, najbardziej oddanych sprawie całego ludu; za pomocą tego Komitetu wszystkie związki z sobą się porozumiewały. — W październiku 1893 roku odbyły się dwa zjazdy pełnomocników wszystkich związków robotniczych i włościańskich; na zjazdach tych umówiono się, by iść ręką w rękę z sobą, jednego się trzymać, postępować we wszystkim zgodnie i tak na całej wyspie.

Wkrótce jednak nastąpiły wypadki, wskutek których sprawa ku wielkiemu zadowoleniu władzy i dziedziców poczęła brać inny obrót, dla nich bardzo pożądany, dla ludu bardzo smutny. Zdarzył się ciężki nieurodzaj; ku końcowi 1893 roku nastąpił głód. Rząd nie-

tylko, iż głodnym żadnej nie udzielił pomocy, ale nadto grabił ludność, ściągając zaległe podatki bez żadnej dla nikogo ulgi. Wyczerpała się wreszcie uległość i cierpliwość ludu. W grudniu, w wielu miejscowościach poczęły się gromadzić tłumy. Wołano: „Precz z podatkami!“ W Sycylji, u wjazdu do każdego miasta przy rogatce wznoszą się domy poborców, którzy pilnują, by bez opłacenia pewnego podatku nikt nie przywoził jaryzyn, siana, zboża, mleka i t. d. Otóż wzburzone tłumy ludu popaliły wiele takich domów i rogatek.

Przywódcy wszelkimi siłami starali się uspokoić ludność i powstrzymać ją od gwałtownych czynów, obawiali się bowiem, żeby cała ich praca nie poszła w niwecz. Związki niedawno dopiero powstały; nie wszyscy jeszcze do związku należący mogli nabrać jasnego pojęcia o wielu rzeczach, nie wszyscy dość dobrze pojmowali, co i jak należałoby w państwie zmienić; przytem Sycylja jest tylko niewielką częścią całego królestwa i sama, bez poparcia ze strony pozostałych części państwa, nie wiele mogłaby zdziałać. Z tych więc powodów przywódcy odradzali ludowi, by nie burzono domów i nie podpalano rogatek. Niektóre związki, składające się z ludzi bardziej pojętych, posłuchały tych roztropnych rad, ale wielu nie posłuchało. Dużo było jeszcze narodu ciemnego, któremu trudno było coś wytłumaczyć. Ciemni ludzie nie umieli się poznać na podstępach rządu i mniemali, że tylko miejscowa władza pozwala sobie samowolnie grabić lud, ale że król i wyższa władza są dobrzy i sprawiedliwi. Myśleli więc sobie, że nic złego nie wyniknie z tego, gdy sprzeciwią się miejscowej policji, bo policja sama właśnie postępuje na przekór woli monarszej i ministrów. I stało się, że

tłum takich ciemnych, a głodem znękanych ludzi, niosąc zamiast sztandarów portrety króla i królowej, uderzył na rogatki i domy poborców, spustoszył je, rzucił się na dom głównego zarządu podatkowego — i tu znów wszystko poniszczono; znaleziono spisy i księgi podatkowe, podarto je, spalono...

Wtedy zjawilo się wojsko. W Palermo — głównem mieście Sycylii — nastąpiło starcie żołnierzy z tłumem bezbronnych robotników, którzy nie zechcieli rozejść się na wezwanie. Kazano strzelać. Padło wielu ludzi, wśród których — starcy i kobiety. Rozpacz bezdenna i gniew ogarnęły cały ten tłum ludzi. W mgnieniu oka poczęto się uzbrajać, w co kto mógł, co do rąk wpadło. Posypały się na żołnierzy cegły, kamienie, drągi. Pod gradem tych pocisków wojsko, lubo uzbrojone w karabiny, szable i rewolwery, kilkakrotnie musiało się cofać. Tłum rozjuszony i zrozpaczony nacierał wściekle, zapamiętale... Widok był straszny...

Wypadki te były bardzo na rękę rządowi, gdyż dały mu możność zastosowania najsurowszych, krańcowych środków. Na wyspę — jakby do jakiego obcego, nieprzyjacielskiego kraju — posłano całą armję, liczącą 60 tysięcy żołnierza. Dowództwo powierzono generałowi i nadano mu najwyższą władzę na wyspie; mógł zatem wydawać jakie tylko chciał rozporządzenia, miejscowe zaś władze miały mu być we wszystkim posłuszne. Ogłoszono na wyspie stan oblężenia. Zabroniono wszelkich zebrań i tłumnych zgromadzeń. Po wszystkich miastach i znaczniejszych wsiach nieustannie krążyły patrole i oddziały wojska. W chatach chłopskich umieszczano na postój żołnierzy. Zaaresztowano coś koło sześciu tysięcy ludzi, a w tej liczbie wszystkich głównych przywódców

i działaczy związkowych. Gazety socjalistyczne zostały zabronione; książki konfiskowano, odbierano. Aresztowanych sądzono sądem wojennym, nie oglądając się na żadne prawa. Moc ludu wtrącono do więzień, lub skazano na ciężkie roboty.

Znani nam Defelicze i Bosko, oraz towarzysze ich Werro, doktor Barbato i adwokat Montalto sądzeni byli nie z wszystkimi, lecz osobno, jako najciężej obwinieni. Dzielni ci ludzie doskonale to rozumieli, że wyrok na nich dawno już jest gotowy i że sąd odbędzie się tak tylko — dla formy, dla oka. Rozumieli, że sędziowie ci będą głusi na głos prawdy i sprawiedliwości; że to nie są prawdziwi sędziowie, obrońcy prawa, tylko służalcy, pragnący dogodzić bogatym panom i rządowi. Wiedzieli, iż cokolwiek powiedzą, zawsze, tak czy owak, będą skazani, to też przed sądem mówili bez ogródek, mówili tak, jak gdyby nie sędziowie słyszeć ich mieli, lecz cały naród; mówili tak, jakby nie oni byli sądzeni, lecz jakby sami sądzić mieli. Śmiało oskarżali władzę o ucisk ludu, oskarżali władzę, iż ona to jest przyczyną klęsk ludowych, nędzy i głodu, iż depcze ona wszelkie prawa, iż dopuszcza się krzyżającej niesprawiedliwości. Otwarcie też mówili o swoich celach i zadaniach.

Rozumie się, iż wszystkich ich skazano bardzo ciężko, każdego na 12—16 lat więzienia. Podczas wygłaszania tego ostatniego wyroku — głos przewodniczącego sądu zadrzał, twarz jego pobrała, zachwiał się. Widać było, iż sam on w głębi duszy odczuwa niesprawiedliwość wyroku, że sumienie w nim drgnęło i przemówiło surowym wyrzutem... A jakież dopiero uczucia przejąć musiały cały lud sycylijski! Bez względu na stan wojenny, na obecność mnóstwa policji — olbrzymi tłum ludu

zgrupował się w domu, w którym zasiadał sąd wojenny. Gdy dowiedziano się, jaki zapadł wyrok, cały tłum zawrzał oburzeniem, poczęto świstać, krzyczeć, hałasować. Dopiero wezwane wojsko rozproszyło tłum.

Naturalnie, iż dziedzice, bogacze i różni miejscowi naczelnicy byli bardzo z tego wszystkiego zadowoleni; wszyscy oni odetchnęli teraz spokojniej. Zdawało im się, iż takiego już strachu napędzili chłopom, że ci nigdy już nie poważą się nic przeciw nim przedsiębrać. Co lepsi przywódcy ludowi — wtrąceni do więzień; wielu śmielszych chłopów powysyłano precz z rodzinnych wiosek do dalszych miejscowości; związki zostały rozpezdzone; wszędzie zaprowadzono surowe przepisy... Pano wie zacierali ręce, ale — próżna była ich radość! Wszystko to było daremne, nic nie skutkowało... Lud nie mógł zapomnieć tego, co już się nauczył; lud nie mógł się wyrzec walki o lepszą dolę; lud nie zdolny był już ugiać po dawnemu kark przed dziedzicem. Kto raz poczuje się człowiekiem, kto raz poczuje swą godność ludzką, ten nie zechce napowrót zostać bydłciem i wrócić do jarzma. Minęły już te czasy, gdy chłop bez skargi znosił najcięższy niedostatek i jeszcze dziękował Bogu bodaj za czerstwego chleba kawałek. Naród już poczuł swą siłę, pojął, że nie jest jakimś niemownym bydłciem, które bezkarnie można kopać. Pojął chłop, że i on jest człowiekiem nie gorszym, a może i lepszym od tego, co z cudzej pracy dochrapał się majątku, włości i pałaców! Prędko, bardzo prędko przekonali się panowie dziedzice i sam rząd, że ich rachuby zawiodły ich. Bosko, Defelicze, Barbato i inni, przez sądy skazani niby jacyś winowajcy, jeszcze większą teraz cieszyli się miłością i czcią ludu, który wszelkimi siłami starał się cześć swoją im

okazać. Mnóstwo wsi i miast nadało im godność obywateli honorowych; wsie i miasta jedne przez drugie poczęły obierać ich na radnych gminnych lub miejskich; obrano ich deputowanemi do parlamentu... W taki sposób cały kraj, całe Włochy potępiły wyrok rządu; kraj wypowiedział teraz swój własny wyrok, wyrok ludu!...

Opowiedziane powyżej wypadki stanowiły gorzką naukę dla sycylijskich robotników i chłopów. Lud sycylijski pojął swój błąd, pojął dlaczego nie dopiął swego celu — oto dlatego, iż zbyt ostro, zbyt gwałtownie wzięto się do rzeczy. Lud nie wziął pod uwagę, jak wielu ma wrogów i jak potężni są ci wrogowie. Dopiero teraz przekonał się lud sycylijski naocznie, że wszyscy dziedzice, wszyscy bogacze, kupcy, fabrykanci, wszyscy urzędnicy i wszyscy księża idą z sobą ręką w rękę, stanowią jedną szajkę ciemięzców i wyzyskiwaczy ludu! I mają w swych rękach posłuszne na każde ich skinienie — wojsko, armję... Naturalnie, że gdyby już cały naród dobrze pojmował, kto jest jego przyjacielem, kto wrogiem, to i z wojskiem byłaby wcale inna sprawa, bo przecież wojsko rekrutuje się z ludu, z chłopów i robotników. Ale właśnie całe nieszczęście tkwiło w tem, iż lud sycylijski przed czasem, przedwcześnie próbował siłą zwalczyć swych wrogów. Jakaśmy to już mówili, Sycylja stanowi tylko niewielką część królestwa włoskiego i od reszty kraju oddzielona jest morzem; w pozostałych częściach kraju lud wiejski był jeszcze nieoświecony, tylko w miastach tu i owdzie garstki robotników walczyły o swe prawa. Po stronie ludu stanęła wprawdzie inteligencja, czyli wykształceni najlepsi i najuczciwsi ludzie wszystkich stanów i klas, ale swoją drogą siły były

jeszcze niedostateczne, by iść przebojem, trzeba było długi czas jeszcze działać z ukrycia, cichaczem...

Ale opowiedzmy dalsze wypadki...

Rząd potrochu zaczął zmieniać sposób postępowania. Zamiast środków surowych, jakie stosowano dotychczas, poczęto przyznawać włościanom różne drobne ulgi, a więcej jeszcze obiecywać. Przystąpiono do wypracowania nowych praw o umowach dzierżawnych. Rządowi wydawało się, że na tę przynętę weźmie lud, który może gotów będzie uwierzyć w dobre chęci urzędników, a odwróci się od swych dawnych wypróbowanych przyjaciół i przywódców.

Dwa lata temu roboczy lud we Włoszech znów się począł buntować. Tym razem jednak powstali nie chłopci, lecz robotnicy fabryczni i miejska biedota w Medjolanie, jednym z większych miast włoskich. Socjaliści znów przekładali ludowi, by dano spokój zbrojnemu powstaniu, żeby jeszcze poczekano, że trzeba wprawdzie w siłę, nie rzucać się z gołą ręką. Ale nie posłuchano. I znów wojsko strzelało do bezbronných, znów krew zbroczyła ulice...

Zwolna jednak zorza lepszych dni poczyna wschodzić dla ludu włoskiego. Robotnicy i chłopci coraz więcej obierają swoich ludzi do rad gminnych i parlamentu. W parlamencie przyjaciele ludu stanowią teraz poważną już siłę, z którą rząd musi się liczyć, której nie może lekceważyć, jak dawniej.

To też rząd obecny staje się coraz bardziej skłonnym do ustępstw.

Jak silną jest dzisiaj partja posłów ludowych, dowodem, iż partja ta zmusiła do ustąpienia wszystkich tych ministrów, którzy nie sprzyjali ludowi, nic dla ludu

nie chcieli uczynić i trzymali się dawnego sposobu rządzenia środkami surowymi. Nowi ministrowie poszli już inną drogą i zgodzili się na różne ustępstwa dla ludu. Wróciła wolność tworzenia związków; w całych Włoszech robotnicy i chłopci poczęli na nowo zakładać związki ku obronie swoich praw od wyzysku pracodawców. Ochoczo idzie wspólna praca. Najemnicy wiejscy i chłopci-dzierżawcy, połączywszy się wszędzie w związki, zmówili się, by nikt się nie ważył pojedynczo wynajmować do robót we dworze, ani też pojedynczo umawiać się z dziedzicem o dzierżawę. Sami ułożyli takse, ile dziedzice mają płacić najemnikom, a ile chłopci czynszu za ziemię. W taksie tej wyszczególniono każdy rodzaj pracy najemnika, to jest, że za taką i taką robotę najemnik otrzymywał ma tyle i tyle, za inną znów — tyle i tyle. Tak samo i z czynszem. Powiedziano: za taką i taką ziemię ma być płacone dziedzicowi tyle i tyle, za lepszą — tyle, za gorszą znów — tyle i tyle. Gdy ułożono takie takse dla każdego okręgu, lub gminy z osobna, i zatwierdzono je, to już żaden chłop, pod żadnym pozorem nie powinien był najmować się do dworu za inną płacę, niż podług taksy. Również nikt nie powinien był przystawać na inny czynsz, tylko podług taksy. Wszystkich dziedziców zawiadomiono, że czy zechcą najać sobie ludzi do roboty, czy zechcą grunta swoje wypuścić w dzierżawę — to muszą się stosować do taksy.

Ale zapytacie, co zrobić, jeśli który dziedzic nie zechce przystać na takse, albo jeśli który chłop ukradkiem wynajmie się do dworu taniej, niż powiedziano w taksie, a znów inny, także ukradkiem, zgodzi się płacić czynszu więcej, niż podług taksy? Przecież może się

znaleźć taki chytry, co bodajby drożej zapłacić, ale innych nie dopuścić!

Otóż jest sposób i na dziedzica opornego — i na takiego chłopca, coby się chciał sprzeniewierzyć związkowi i poczynąć sobie na własną rękę.

Sposób ten zowie się „bojkot“.

Bojkot, znaczy to — zerwanie z kimś wszelkich stosunków.

Bojkotować kogoś, to znaczy, że wszyscy dają sobie słowo, iż z bojkotowanym nie będą utrzymywali żadnych stosunków; że wszyscy, jak jeden, usuną się od niego; że nikt nie a niego nie będzie kupował, ani też jemu sprzedawał; że nikt nie przyjmie od niego żadnej usługi, ani też jemu nie okaże, że nikt mu nie udzieli pomocy w niczym; wszyscy będą stronili od niego, jak od zarażonego, nawet mówić z nim nie będą.

Bojkotowany żyje niby wśród ludzi, ale wydaje mu się, jakby był gdzieś na pustyni. Gdy przemówi do kogo — nikt mu nie odpowiada, każdy od niego stroni, odwraca się, mija go nie patrząc nań, bez powitania; wszyscy udają, że go nie widzą. Czyby zachorował, czyby w wodę wpadł, czyby go ogień nawiedził, czy jakie inneby go nieszczęście spotkało — wszystko jedno, nikt nawet palcem nie ruszy, żeby mu przyjść z pomocą. To jest bojkot! Straszna broń, straszna kara na przeniewierców. A czy sądzicie, że dziedzic ostoi się — choć taki bogaty, jak go się zacznie bojkotować? Nigdy w świecie, bo żaden żywy człowiek nie najmie się do niego do roboty; w polu mu wszystko zmarnieje, będzie chciał nabyć co w sąsiedztwie — nie sprzedadzą; nikt mu w niczym nie posłuży, a spadnie nań jaka klęska — ogień, powódź lub co innego, to niech się tam sam ra-

tuje jak może. Otóż bojkot okazał się w Sycylii takim skutecznym sposobem, że dziedzice radzi nie radzi przystali na warunki, jakie im chłopci postawili.

Powodzenie owych związków zachęciło właścicieli z innych okolic i wszyscy gromadnie poczęli do nich przystępować. Liczba związków wzrastała niesłychanie szybko.

Parę lat temu w okręgu Mantuańskim odbył się zjazd pełnomocników stu dwudziestu sześciu związków. Zebrani razem pełnomocnicy utworzyli ogólny związek właścicieli tego okręgu i okazało się, że do tego ogólnego związku należy siedemnaście tysięcy właścicieli.

Po innych okręgach (czyli jakby u nas guberniach) założono również podobne związki okręgowe. A stopniowo, stopniowo — zrodziła się myśl, by w całych Włoszech wszyscy chłopci, czy to mający własne grunta, czy to dzierżawcy, czy tylko najemnicy — utworzyli jeden powszechny i potężny związek w celu wzajemnej pomocy i obrony swoich interesów, w celu przeprowadzania wyborów swoich ludzi do parlamentu i t. d. I rzeczywiście, w listopadzie roku 1901, odbył się w mieście Bolonji olbrzymi zjazd pełnomocników z wszystkich stowarzyszeń i związków właścicieli z całych Włoszech. Okazało się, że w związkach tych, co wysłały na ów zjazd swoich pełnomocników, jest wszystkiego razem z górą 150 tysięcy członków! Łatwo pojąć, jaka radość i duma przeniknęła właścicieli na zjazd przybyłych, gdy się dowiedzieli jaka moc ludu należy do związków i jaka to siła tkwi w takiej gromadzie! Cóż — jeden człowiek nie znaczy nic, nie zdoła nic. Wielu jest takich chłopów, którzy radziby sobie dołączyć, ale strach ich

bierze, bo myślą — a to głową muru nie przebije, a to sam sobie nikt rady nie da; otóż teraz każdy taki nieśmiały, lękliwy przekonał się, że wcale nie jest sam; że za nim stoi olbrzymia i potężna gromada, która go nie opuści i w potrzebie obroni. Ów wielki zjazd (czyli kongres — jak się po książkowemu mówi) dowodnie, jasno jak na dłoni wykazał, że chłopci ocknęli się, że ani myślą już po dawnemu chodzić w jarzmie, pokornie uginać głowy i karki, że poczuli, iż są ludźmi i po ludzku żyć zapragnęli!

Zjechawszy na ten kongres, chłopci jeden od drugiego podowiadawali się, jak tam w innych stronach idą sprawy chłopskie, jak się powodzi związkom, jakich używają sposobów do polepszenia ogólnej, wszystkich doli, jakie sposoby okazały się dobre, jakie — nie; słowem — jeden uczył się od drugiego. A rozjechali się po kongresie pełni otuchy, śmiałości, nadziei na przyszłość; rozjechali się każdy w swe strony i po całym kraju rozgłosili dobrą nowinę, iż sprawa włościańska, sprawa ludowa pomyślnie postępuje i rozwija się.

Zanim się jednak rozjechali, uradzili pełnomocnicy owi, iż należy założyć jeden wszech-włoski (czyli — z całego kraju) związek rolniczy; że trzeba ciągle utrzymywać stosunki ze sobą, donosić sobie wzajemnie o wszystkim, co dotyczy wspólnej ludowej sprawy; że trzeba koniecznie wydawać własne chłopskie gazety, a przedewszystkim — trzeba by wszystkim roboczy lud wiejski — czy to bezrolni najmici, czy chłopci czynszownicy, czy chłopci siedzący na swoim — słowem wszyscy, którzy z pracy rąk żyją — powinni trzymać się jeden drugiego, o wszystkim razem postanawiać, wzajemnie sobie dopomagać i z wszystkich sił dążyć do tego, by

nareszcie wszystka ziemia, wszystkie grunta stały się wspólną ludu roboczego własnością, z którejby wszystkie roboczy lud wiejski społecznie użytkował.

Porozjeżdżali się pełnomocnicy związków pokrzepieni na duchu, silniejsi jacyś, pełni ochoty do dalszej pracy. Każdy z nich zawiózł w swe strony pomyślną wieść o powodzeniu, jakie w wielu okolicach osiągnęły związki i o tym, że wszędzie chłopci budzą się po długim swym śnie — do nowego życia. Teraz jeszcze szybciej, jeszcze goręcej poszła robota. Ot, dla przykładu dość powiedzieć, że w Paduańskim okręgu w październiku 1901 r., istniało wszystkiego trzydzieści miejscowych związków, a w związkach tych zaledwie dwa tysiące członków, a w końcu tegoż roku było już sześćdziesiąt związków i ośm tysięcy członków — dwa razy tyle związków i cztery razy tyle członków co przed paru zaledwie miesiącami!

Włościańskie związki z miejskimi, robotniczymi związkami żyją tam w najlepszych stosunkach, po bratersku, bo jedni i drudzy mają ten sam cel, walczą za wspólną, wielką sprawę — wyzwolenie pracy! Do jakiego stopnia gotowi są jedni drugim pomagać, widać z następującego wypadku.

Zdarzyło się, iż miejscy robotnicy urządzili strajk, czyli bezrobocie, w celu uzyskania lepszej płacy w fabrykach; strajk trwał już długo, trzeba zaś było przeciągnąć go jeszcze czas jakiś, bo fabrykanci odrazu nie chcieli spełnić żądań robotników, ale że ponosili wielkie straty z powodu nieczynności fabryk, więc wiadomo było, że w końcu fabrykanci ustąpią, tylko trzeba było żeby robotnicy mogli jeszcze jakiś czas przetrzymać. A tymczasem robotnikom już i głód zaczął doskwierać...

Jak się o tym chłopci dowiedzieli, tak powiadają — żeby tam niewiedzieć co, trzeba braci naszych ratować; nie damy im zginąć! To i grunt zastawili i na zastaw zboża pobrali pożyczki, i skąd się dało pościągali pieniądze, i wszystko oddali robotnikom, by ci mogli przetrzymać do końca strajku. I nieraz się to zdarzyło, że chłopci by podtrzymać strajk robotniczy, wspierali czym mogli robotników, mąki im posyłali, chleba, kartofli — co mieli tylko. Rozumie się, że znów miejscy robotnicy, gdy zaszła potrzeba, ochoczo spieszyli i zawsze gotowi spieszyć z swą pomocą wiejskiemu ludowi. I ci i tamci rozumieją jedno, że robotnik fabryczny, a chłop-rolnik — to dwaj towarzysze pracy, dwaj bracia, którzy powinni żyć z sobą w zgodzie i miłości, dzieląc społem złe i dobre, radość i zgryzotę.

A długą mają jeszcze drogę do przebycia przed sobą, zanim dla obydwóch nastąpią wreszcie upragnione dni powszechnej pomyślności! Może jeszcze nie jeden rok upłynie, nie jeden szary, smutny dzień przeżyć trzeba będzie, zanim chłop sycylijski odetchnie swobodnie pełną pierś i powita jasne słońko lepszej doli. Chociażby jednak nie doczekali owego słońka te dzielne zuchy, co to pierwsi rozpoczęli walkę o lepszą dolę, doczekają go jednak synowie ich i wnuki. Młodzież doczeka tych pięknych dni, kiedy święcić się będzie zwycięstwo sprawy ludowej; doczeka młodzież, odetchnie kiedyś pełną pierś i uczci dobrym słowem pamięć dzielnych bojowników, którzy nie szczędzili żywota za wspólną sprawę, za sprawę ludu!



235029